Cena 5 zł.

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

„HASŁO WYZWOLENIA LUDÓW ŻYJE W UMYSŁACH, CZYNI POSTĘP WSZĘDZIE"

Joachim Lelewel

Rok I — Łódź, 25 listopada 1945 r. — Nr 13

WITOLD KULA

Z DZIEJÓW BANKRUCTW EMIGRACYJNYCH

1. KRÓTKA PRZERWA W WALCE

Od epoki rozbiorowej emigracja polityczna jest stałym zjawiskiem w naszych dziejach. Fakt ten, zdawać by się mogło marginesowy, dokonujący się gdzieś na brzegu zasadniczego nurtu losów i spraw narodu polskiego — w rzeczywistości przybrał rozmiary i znaczenie olbrzymie. Nastąpiło praktyczne rozszczepienie polskiego życia na dwa nurty. Olbrzymia część twórczości kulturalnej, myśli społecznej i politycznej i in. dokonywała się za granicą, w oderwaniu od realnego życia kraju, pod wpływem aktualnych, a często z obcymi warunkami związanych idei społeczno - politycznych, przy częstym zatraceniu poczucia rzeczywistości. Spróbujmy prześledzić pewien wycinek tego tragicznego w skutkach rozszczepienia.

W obliczu pruskiej zdrady w 1792 r. i wywołanego nią całkowitego załamania się linii politycznej twórców konstytucji 3-go maja, zerwany został sztuczny i nie rokujący trwalszych nadziei sojusz centrum z lewicą. Sojusz ten, będący bazą przewrotu majowego, obliczony był na oparcie o przymierze polsko - pruskie, które miało rzekomo zabezpieczyć Polskę przed zbrojną interwencją Rosji. Sojusz ten okazał się po prostu pruską prowokacją. Zawierając go, Prusy miały na celu doprowadzenie do całkowitej kompromitacji Polski wobec Rosji, wywołanie komplikacji zbrojnych i doprowadzenie tą drogą do rozbioru. Cel ten został w pełni osiągnięty.

W obliczu tego faktu, gdy nie mająca nic do stracenia lewica wykazała całkowitą dezorientację — centrum postanowiło zerwać zawarty kiedyś w królewskiej bibliotece, pod auspicjami królewskiego sekretarza Piatollego, na tajnych schadzkach, poświęconych opracowaniu konstytucji 3-go Maja, sojusz z lewicą. Decyzję wprowadzono w czyn. Król przystąpił do Targowicy.

Wojna była skończona. Rządy w kraju z rąk „centrolewu" przeszły w ręce „centroprawu". Garstka twórców konstytucji majowej i wyższych oficerów armii schroniła się za granicę.

Nie była to swobodna decyzja. Szli oni na emigrację, bo nie mogli nie iść. Szukali za granicą bezpieczeństwa, wierząc, że w najbliższym czasie powrócą i podejmą walkę na nowo.

I tak się stało. Wrócili po półtora roku kierować ruchem, który wprawdzie przez nich był inicjowany, lecz którego decyzja i pierwsze kroki dokonały się w dużej mierze samorzutnie w kraju, pociągając ich za sobą i zmuszając do przyśpieszenia decyzji.

*

2. NIE „NURT" LECZ DWA NURTY

Gdy po roku ci sami ludzie stanęli znowu wobec konieczności ucieczki za granicę — sytuacja, choć mocno zaostrzona, przedstawiała się, przynajmniej w ich odczuciu, w zasadniczych rysach tak samo. Tak jak i w 1792 szli szukać bezpieczeństwa osobistego, tak jak i wtedy szli licząc, że idą na krótko, z myślą o niedługim powrocie. Tym razem jednak w rzeczywistości droga okazała się znacznie dłuższa niż sądzili.

Obok nielicznych przywódców poszła również za granicę — zdezorientowana po kapitulacji Warszawy i Radoszycach — masa oficerska. Czegóż ci szukali za granicą? Ich osobistemu bezpieczeństwu niewiele chyba groziło. Szli owczym pędem za swoimi przywódcami — lecz to nie tłumaczy jeszcze tak masowego zjawiska. Była i głębsza przyczyna. „Ludzkość — pisze gdzieś Balzac — waha się nie między złem a dobrem, lecz między złem a gorszem". Emigracja była tu złem. W oczach jednak przeciętnego emigrującego pozostanie w kraju było gorszem. Któż bowiem emigrował? Oficerowie świeżo stworzonej armii, ludzie związani z aparatem administracyjnym, sądownictwem, samorządem. Najczęściej szlachta już bezrolna, lub uczestnicząca w małych działach rodzinnych. Dla ludzi tych ranga w armii, asesorstwo w palestrze, komisarstwo skarbowe i t.p. — były to jedyne drogi utrzymania się na uprzywilejowanej pozycji społecznej. Upadek państwa—a w skutku tego: rozwiązanie wojska, likwidacja samorządu, wprowadzenie fachowej biurokracji w administracji ogólnej, skarbowej czy sądownictwie— stawiał tych ludzi wobec tragicznego dylematu: albo kontynuować walkę, albo pogodzić się z deklasacją. Lecz z deklasacją nikt się z dobrej woli nie godzi. Wybrali dalszą walkę — poszli na emigrację. Oni właśnie — to ów zarodek inteligencji polskiej, tak ślicznie odmalowanej w berentowym „Nurcie". Poszła więc na emigrację garstka najbardziej skompromitowanych lewicowych przywódców i wypchnięta przez obawę deklasacji masa oficersko-urzędnicza, stanowiąca w kraju w czasach sejmu czteroletniego doły centrum. Arystokratyczna góra centrum, zdając sobie sprawę, że dalsza walka o niepodległość musiała by być połączona z nowym koncesjami społecznymi i, tym bardziej targowicka prawica, którą nadzieja korzyści społecznych pogodziła z utratą niepodległości, pozostały w kraju. Nic więc dziwnego, że ci, co w kraju należeli do centrum — w emigracyjnych stosunkach stał się prawicą, że lewica, garstka niknąca w kraju — w stosunkach emigracyjnych nabrała znaczenia i rozgłosu, że jednym słowem układ polityczny na emigracji zupełnie nie odpowiadał stosunkowi s.ł w Polsce.

Emigracyjna lewica stworzyła sobie reprezentację w tak zwanej „Deputacji", prawica zaś nie pozwoliła umrzeć kościuszkowskiej „Agencji" paryskiej. W braku państwa, które samym swoim istnieniem umożliwia wytworzenie się ze ścierających się prądów jakiejś wypadkowej — rozbicie organizacyjne musiało się okazać czynnikiem paraliżującym wzajemne poczynania.

Dość szybko skrystalizowały się dwa programy. „Agencja" stawiała sobie za cel restytucję Królestwa Polskiego z ustawą majową. „Deputacja" zaś stworzenie republiki polskiej z wzorowaną na francuskiej konstytucją, z dyktatorskim rządem à la komitet Ocalenia Publicznego. „Agencja" dążyła do stworzenia polskiej siły zbrojnej na emigracji i udziału w wojnie europejskiej, by tą drogą zmusić przyszły kongres pokojowy do rozpatrzenia sprawy polskiej. Siła zbrojna w jej rozumieniu miała służyć do postawienia kwestii polskiej na forum europejskim, rozwiązanie zaś tej kwestii należało do dyplomacji. W rozumieniu „Deputacji" siła zbrojna na emigracji miała za zadanie zapoczątkować walkę, wnieść ją niejako do kraju i zachętą uzyskania korzyści społecznych wywołać w nim powstanie ludowe mas. Po powstaniu spodziewano się takich rezultatów, jakie osiągnęła Francja rewolucyjna w obronie przed koalicją. Dlatego „Agencja" stawiała na Legiony, „Deputacja" zaś formowała oddziały z uciekinierów wojskowych na Wołoszczyźnie. Z demokratycznych oficerów Sułkowski najpierw był na Wołoszczyźnie, a później on i Zajączek wstąpili do służby francuskiej i idei Legionów się sprzeciwiali. Masa szlacheckich emigrantów, zależnie od tego gdzie ją los zagnał, wstępowała do formacji, czy to na Wołoszczyźnie, czy to we Włoszech.

Mimo wszystkie kryzysy idei legionowej (militarne—Trebia, Mantua i dyplomatyczne—Leoben i Campo Formio) masa ta wytrwała przy Legionach, tworząc ich rozbudowane na wyrost kadry oficerskie („Oficerowie nadetatowi"), podobnie jak wytrwała przy Legionach masa szeregowych, dezerterów i jeńców z austriackiej armii, którzy—uprowadzeni „w kamasze"— woleli już z dwojga złego służbę w legionach. Tak tamci jak i ci wytrwali, bo nie mieli gdzie wracać, zwłaszcza przy systematycznym i celowym pomijaniu przez Bonapartego żądania amnestii dla nich w czasie rokowań pokojowych. Legiony trwały i po każdym kryzysie odradzały się z zadziwiającą pozornie siłą — bo nie mogły nie trwać.

Najpierw, po nieodpowiedzialnej, awanturniczej wyprawie Deniski, upadło tragiczne przedsięwzięcie wołoskie. Wówczas i lewica emigracyjna również zwrócić się musiała ku idei legionowej, ograniczając swą opozycyjność do zwalczania osoby Dąbrowskiego. Legiony żyły dłużej i, jak powiedziałem, kurczowo trzymały się życia. Tragiczna „pomyłka" Napoleona z wyprawą na San Domingo wyniszczyła je prawie doszczętnie. Zdawało się, że wszystkie wysiłki emigracji poszły na marne — gdy nieoczekiwanie w swym zwycięskim pochodzie przez Europę, Napoleon stanął u granic Polski. Kraj miał zebrać plon z emigracyjnego posiewu.

3. KONFRONTACJA Z RZECZYWISTOŚCIĄ

Faktycznie jednak stosunki ułożyły się inaczej. Rozszczepienie między krajem a emigracją wystąpiło wcześnie i silnie. Ludzie niegdyś z tych samych stronnictw nie mogli się teraz porozumieć. Dawne arystokratyczne „centrum majowe" bało się widma „rewolucyjnego generała", za jakiego uważało Bonapartego. Ów zaś „rewolucjonista" od pierwszej chwili pragnie oparcia się na tych właśnie ludziach, domaga się od Dąbrowskiego zwołania Sejmu Wielkiego do Medalionu i ściągnęcia tam Małachowskiego. Opory jednak były widać bardzo silne, bo nic z tych planów nie wyszło. Ludzie Trzeciego Maja byli raczej skłonni w tym czasie dać poparcie planom Czartoryskiego, szukania oparcia w Rosji.

Katastrofalny dla Polski zwrot w polityce Aleksandra ostudził ich zapał. A później przyszły Austerlitz i Jena. Centrum znalazło się wobec konieczności decyzji. Łatwo ją było podjąć kiedyś emigrantowi Dąbrowskiemu. Lecz teraz, gdy domaga się jej Napoleon od ks. Józefa — ten ostatni próbuje domagać się gwarancji twierdząc, że „nie wystarczą odezwy kilku oficerów, którzy wyemigrowali i nie mają nic do stracenia"! Na nic były jednak targi, gdy Poniatowski wiedział, że Dąbrowski targować się nie będzie. W rezultacie Napoleon zastosował stałą swoją taktykę wygrywania jednych sfer przeciwko drugim. Wyrazem tej tendencji było wygrywanie przeciwko sobie na wzajem trzech wyższych, a równoległymi stanowiskami obdarzonych dowódców polskich: — Zajączka (lewica emigracyjna), Dąbrowskiego (emigracyjna prawica w stosunkach krajowych — centrum) i ks. Józefa (centrum z 1791 r., teraz prawica). Wszystko to odbywa się pod nieobecność odepchniętej przez Napoleona krajowej skrajnej lewicy (Kołłątaj) i przy usunięciu się licznej, zwłaszcza w zaborze rosyjskim, i najczęściej zadowolonej z carskich rządów krajowej konserwy. Nowoutworzone Księstwo oddał Napoleon tym samym ludziom Trzeciego Maja, do których od pierwszej chwili, jak widzieliśmy, najwięcej miał zaufania. Ludzie ci, uchwyciwszy w swe ręce ster państwa, szybko zdołali okiełznać niebezpieczeństwo grożące im ze strony art. 4-go konstytucji Księstwa o „zniesieniu niewoli". „Dekret grudniowy" Fryderyka Augusta przeciwstawił chłopskiej wolności osobistej — pańskie prawo własności do ziemi, chłopskiemu prawu do przenoszenia się z miejsca na miejsce — pańskie prawo do rugowania chłopa, a wprowadzając pozornie liberalną „swobodę umów" — pozostawił jednocześnie wójtostwa i związane z nimi sądownictwo w rękach dziedziców. W ten sposób Napoleon okazał się nie groźnym; przeciwnie, jego militarna potęga otwierała perspektywę odzyskania niepodległości i związanych z kierowaniem państwem korzyści, bez konieczności uciekania się do dalszych koncesji społecznych. Arystokracja krajowa oddała się teraz bez zastrzeżeń Napoleonowi, a lewica od niego odeszła. Ta ostatnia, ostatecznie straciwszy nadzieję na to, by reformy społeczne narzucił Polakom Napoleon, zwróciła swe oczy ku otaczającemu się legendą liberała cesarzowi Aleksandrowi. A gdy przyszła chwila próby i Napoleon w 1812 r., wkraczając do zaboru rosyjskiego, postawił licznie tam zgrupowaną reakcję polską wobec konieczności decyzji — ta nie dała się wciągnąć w awanturę napoleońską. Litwa na wezwanie 1812 r. odpowiedziała słabo. Wiele poważnych osobistości (Ogiński, Wawrzecki, Lubecki) wycofało się wraz z wojskami rosyjskimi; rekrutacja zamiast spodziewanych — może przesadnie — stu tysięcy, dała zaledwie dwadzieścia; rokosz chłopski, ogarniający pewne ziemie — zwłaszcza Witebszczyznę — na wieść o wkraczaniu Francuzów (nie Polaków!) był zapewne nie bez wpływu na fakt wystawienia oddziałów kozackich z „państw" białocerkiewskiego i tulczyńskiego... po stronie rosyjskiej. Za Napoleonem poszła goretsza młodzież, przede wszystkim ze szlachty nieposesjonatów, nie zainteresowanej w sprawie włościańskiej.

Decyzja postawienia na Napoleona była dla emigrantów pokościuszkowskich niemal jedyna, konieczna. W kraju — nie możliwa była ona tak dla lewicy jak i dla prawicy. Na drogę tę wstąpiło tylko arystokratyczne centrum, czego symbolem stała się śmierć ks. Józefa i absurdalna w swym zaślepieniu wierność lekkokonnego pułku gwardii z Wincentym Krasińskim, Dominikiem Radziwiłłem i Tomaszem Łubieńskim na czele. Że sfery te wywierały następnie olbrzymi wpływ na kształtowanie się naszej tradycji historycznej i legendy napoleońskiej w Polsce — to inna sprawa. Wszak nawet w historycznej pamięci Litwy rok 1812 pozostał „owym rokiem".

Ale rzeczywistość historyczna przedstawiała się inaczej.

4. CO JEST CZYNEM?

Z zawieruchy napoleońskiej wyszła Polska taka, jakiej się nikt nie spodziewał. Terytorialnie bardzo słaba — Kongres Wiedeński nazywano przecież czwartym rozbiorem Polski! Obawa mocarstw zachodnich przed zbytnim wzmocnieniem Rosji nie pozwoliła cesarzowi Aleksandrowi zatrzymać w swym ręku nawet całego Księstwa Warszawskiego. Ale ta okrojona Polska, połączona unią z Rosją, wyposażona była w takie swobody liberalne, że znaleźli w niej dla siebie miejsce wszyscy. Krótko: okres Królestwa Kongresowego, lata 1815—1830 — to jedyny w dziejach porozbiorowych etap, w którym nie znaliśmy emigracji politycznej. A to chyba jest sprawdzian swego rodzaju wolności! Tuż przed wybuchem listopadowym rozpoczęły się wprawdzie ucieczki za granicę osób skompromitowanych reakcyjną działalnością (Nowosilcow, Szaniawski) — były to jednak nieliczne jednostki.

Myśl o nowej emigracji masowej narodziła się właściwie wraz z wybuchem powstania.

Powyższe zdanie brzmi może paradoksalnie — niemniej jest ono prawdziwe w całej rozciągłości. Dziwne bo to było powstanie! Wybuchło niby w obronie pogwałconej konstytucji — a później, niby przypadkiem, drogą jakby licytacji patriotycznej, urodziło się w sejmie hasło walki o niepodległość! Ci, którzy stali na czele powstania, nie chcieli go i w powodzenie

jego nie wierzyli. O uchwale detronizacyjnej Czartoryski powiedział, że to zguba Polski — po czym uchwałę tę podpisał. Od początku do końca widzimy w działaniach tych ludzi — i to wszystkich odłamów — jakiś fatalizm. Bo przecież nie wierzą.

Wymykającym się im od czasu do czasu wyrazem tej skrywanej niewiary jest myśl o emigracji.

Już w styczniu 1831 r. miał Rzewuski zbierać podpisy młodzieży, obowiązującej się raczej kraj opuścić niż się poddać. A po Grochowie, Sejm ograniczył swój komplet prawny do 33 członków, aby móc obradować nawet za granicą. Choć Dwernicki przeszedł granicę licząc na to, że Austria zezwoli mu powrócić, Giełgud — po przegranej kampanii, w obawie przed ostatecznym rozgromieniem, a Ramorino — pod wpływem nie całkiem wyświetlonych pobudek politycznych, to jednak gdy obserwujemy kolejne przekraczanie granicy przez tych generałów — widzimy, że krok ten miał dla nich jakąś siłę pociągającą. Wydawał im się czynem; na żaden inny zdobyć się nie mogli. Działała tradycja Legionów i to, że po kilku latach wróciły one jednak do kraju; działała legendarna wiara we Francję, gdzie wszystkie stronnictwa szukały dla siebie sojuszników. Gdy więc po upadku Warszawy reszta armii (bądź co bądź większa, niż armia, która zaczynała powstanie), rząd, sejm przeszły na prawy brzeg Wisły—rozpoczął się dziwny marsz. Odbywały się posiedzenia sejmu, rządu, rady wojennej, rozważano takie czy inne plany — i maszerowano na północ. Nikt nie mówił, dokąd. I pod Brodnicą wszyscy przeszli granicę pruską. Gdy Władysław Zamojski przygotowywał się do wyjazdu za granicę spotkał go Karol Drzewiecki, stary żołnierz kościuszkowski i rzekł mu: „Nie śpiesz się tak bardzo, wiem ja co to emigracja, sam byłem w niej swego czasu" — ale cudze doświadczenie nie uczy. Tajemniczy urok działał.

Kraj pozostawiono własnemu losowi. Ani rząd, ani sejm, ani żaden z wodzów naczelnych nie pomyślał o jakimś układzie, o zabezpieczeniu doli żołnierza, o ludności cywilnej. A w 1831 r. nie było już Stanisława Augusta, który w r. 1794 mógł podjąć się tych funkcji po ucieczce Kołłątaja i Zajączka. Nie wiedziano nawet co robić dalej po przejściu granicy. Nieprzyznawanie się przed samym sobą do niewiary w zwycięstwo uniemożliwiło przygotowanie na drodze dyplomatycznej jeszcze przed klęską ulokowania masowej emigracji. Dezorientacja była powszechna gdy zjawił się Bem z fantastycznym pomysłem (pierwszy to z jego licznych później kondotierskich pomysłów) formowania we Francji 10,000 armii polskiej. „Projekt" taki urodzić bardzo łatwo, wystarczy go wymyśleć. Nie miał bowiem Bem ani funduszów, ani pozwolenia rządu francuskiego. Ale masa emigrantów poszła za nim, bo nie miała za kim iść. Nikt nie przeczuwał na co idzie.

5. NA ZIEMI CZY W NIEBIE

Gdy przegląda się dziś edycje korespondencyj Goszczyńskiego, Zaleskiego, Mickiewicza, Lelewela czy innych — ogarnia czytelnika prawdziwe przerażenie. Nie ma uroczystości rodzinnej, nie ma świąt, nie ma rocznicy listopadowej — by ludzie ci, przesyłając sobie życzenia nie kończyli ich wykrzyknikiem, w rodzaju: „Następne święta będziemy obchodzili już w kraju". A wzruszający zawsze Lelewel, mimo, że przymiera głodem, nie chce przyjąć katedry w Brukseli, by móc każdej chwili wracać do kraju! W tym napięciu mijają lata. Gdy się to prześledzi — trudno się potem czemukolwiek dziwić. I towianizm, ukazujący drogę do jakiejś Polski poprzez rezygnację z walki o nią, staje się równie zrozumiały, jak papizm Ojców Zmartwychwstańców. Przecież na pojawienie się Towiańskiego zareagował Mickiewicz wysłaniem listu do filomackiego przyjaciela swego, Domejki: Przyjeżdżaj! wracać będziemy do kraju! A ksiądz Jełowicki, wiozący oszustkę Makrynę Mieczysławską do papieża, z drogi, z Marsylii pisze: „Dziś już zapowiedziałem bliską krucjatę". Przecież ci emigracyjni Kajsiewicze, Jełowiccy, czy też z drugiego obozu Goszczyńscy lub Różyccy — to nie żadni oderwani od świata asceci czy mistycy. To wszystko ludzie czynu, działacze, żołnierze, powstańcy (Jełowicki i po wyświęceniu zwany był „kozakiem chrystusowym"), w oderwaniu od kraju, w ciągłym napięciu tęsknoty, przy utracie poczucia rzeczywistości, doprowadzeni do mistycznej egzaltacji.

Lecz są to objawy krańcowe. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że tylko one podpadają pod kategorię patologii społecznej. W rzeczywistości z minimalnymi wyjątkami podpada pod nię całe życie emigracyjne.

Poszli na emigrację przeważnie ludzie młodzi, przeważnie nie mający, poza słabymi wojskowymi, żadnych kwalifikacji. Do tego — garść polityków, urzędników, literatów, których kwalifikacje po przeflancowaniu na obcy brunt sprowadzały się również do zera. Wszyscy ci ludzie po prostu nie mieli co robić na obczyźnie. Pozostawało jedynie politykowanie. Tylko nieliczne jednostki (np. Domejko lub Gałęzowski) potrafiły zdobyć się na wysiłek osiągnięcia nowych kwalifikacji o międzynarodowym walorze (inżynieria, medycyna). Masa politykowała, tęskniła, cierpiała, najczęściej spalając się w bezpłodnej tęsknocie. Czyż trzeba wymowniejszego świadectwa niż wzruszające w swej bezradności listy braci Mochnackich do rodziców?

W dodatku od samego początku przywódcy wmówili masie emigranckiej przekonanie o niesłychanej doniosłości jej misji. Ilość i jakość emigrantów sprzyjała wytworzeniu się poczucia, iż emigracja jest jedyną właściwą reprezentantką społeczeństwa polskiego, polskich dążeń, potrzeb, nadziei. Z biegiem lat coraz bardziej umacniano się w tym przekonaniu, coraz bardziej jednocześnie odbiegając od rzeczywistości. Emigranci wszystkich kierunków uważali, że są powołani nie tylko do reprezentowania kraju za granicą, lecz nawet do decydowania o losach kraju. W chwili rozgoryczenia skarżył się Władysław Zamojski: „Dosyć na nas sarkają, że się narzucamy krajowi". A gdy nowy (po 1848 r.) emigrant T. T. Jeż, bardziej niż jego towarzysze z 1831 r. czujący związek z krajem, wysunął tezę, że emigracja w ważniejszych sprawach, a zwłaszcza w sprawie przyszłego powstania decydować nie może — uzyskał wprawdzie aprobatę światlejszych z Lelewelem na czele, jednak przebywająca w Londynie Centralizacja Tow. Demokratycznego Polskiego zdecydowanie przeciwstawiła się takiemu postawieniu sprawy. Emigranci, ludzie nie mający nic do stracenia, toczyli swoją wojnę z trzema rządami zaborczymi, a koszty tej wojny płacił kraj.

Jedni, nazwijmy ich „czartoryszczykami", tak jak niegdyś „Agencja", próbowali tworzyć na obczyźnie kondotierskie legiony czy to we francuskiej Legii Cudzoziemskiej, czy w Portugalii, Egipcie, Belgii, czy Turcji — aby tylko tę masę emigrantów utrzymać w karbach regulaminu wojskowego, powstrzymać ją od politykowania i samodzielnego myślenia, którego jedynym rezultatem mogły być niepożądane dla ludzi tego stronnictwa wnioski społeczne. Prowadzono skomplikowaną „politykę zagraniczną", szukając dla sprawy polskiej „sprzymierzeńców" zwłaszcza wśród wszelkich góralskich plemion bałkańskich. Sytuację europejską interpretowano według zakupionych uprzednio przez siebie artykułów o naszej sprawie w prasie paryskiej lub londyńskiej, a wyżebrane przez Wł. Zamojskiego interpelacje parlamentarne (czynione przez ludzi, dla których sprawa polska była najczęściej konikiem do zdobycia popularności wśród wyborców) uważano za wydarzenie polityczne decydującej wagi. Na tym lodzie budowało się w marzeniu zamki, a gdy lód nagle zaczął trzeszczeć, stracono głowę i cofnięto się przed odpowiedzialnością.

Bo przecież tym emigrantom o tyle łatwiej było się decydować niż krajowi! Związany z tym obozem Norwid w wierszu „Do A. T." (Andrzeja Towiańskiego), protestując przeciwko ugodowej postawie adresata, woła z przerażeniem:

„Ja wiem, że czasy są, w których
milczenie
Niezwykłej piętnem mowy — lecz
wiem o tem,
Że już przemilka jedno pokolenie
W bez-jawie...".

Drudzy emigranci, nazwijmy ich demokratami, spadkobiercy pokościuszkowskiej „Deputacji", zarzucali kraj hasłami, do których zrozumienia nie dorósł i w rewolucyjnym upojeniu podejmowali nie przemyślane imprezy emisariacko - powstańcze. Egzaltacja ta udzielała się krajowi, tyle, że emigrancka egzaltacja jest stosunkowo nieszkodliwa — a w kraju rodziła ona wstręt do zwykłych „poziomych" zajęć, osłabiając tym samym gospodarczy i kulturalny rozwój kraju. A do czego dążano, tego dokładnie nikt nie wiedział. Gdy jednak sam bieg wypadków niedwuznacznie to wyjaśnił, któryś z wybitnych działaczy demokratycznych, generał Wysocki czy T. T. Jeż tak — przyznać trzeba że szczerze — ocenił sytuację: „Wyobraźmy sobie jeźdźca na koniu, któremu w pełnym pędzie ukaże się nagle pod nogami rów szeroki. Zatrzymać nad rowem konia nie sposób, spadnie bowiem na pewno... w razie takim jeździec, nie pozbawiony przytomności umysłu, puszcza konia i do przeskoczenia rowu mu pomaga. Ryzyko niekiedy zbawiennym bywa... i ryzyko jest lepsze, aniżeli zwalenie się w rów, bez spróbowania przeskoczenia onego".

Rzucano się więc na oślep głową w przepaść. Emigranci jak zawsze nie mieli nic do stracenia. A kraj zapłacił.

*

„Życie emigracyjne to mozolne pływanie balonem — mówi ksiądz Walerian Kalinka, sam niegdyś emigrant — a także bojowanie... z balonu. Pierwsze lata przechodzą zazwyczaj na rozpamiętywaniu niektórych, ale cudzych błędów, stąd wzajemne rekryminacje, spory i nienawiści, tym zaciętsze, im szczuplejszy zakres tego światka. Z żalu po utraconej ojczyźnie budzi się gwałtowna żądza odwetu, odbudowania państwa, roją się pomysły tym zuchwalsze, im większy jest odstęp balonu od ziemi, imaginacja dostarcza w lot wojska, broni, skarbów, przez chmury nie dojrzy groźnego nieprzyjaciela; wszystko się więc najpomyślniej układa, a kończy się na tym, że ci nieszczęśliwi żeglarze spadają na ziemię i swym upadkiem druzgocą siebie i drugich".

Mądrzejsi z nich zrozumieli to — choć za późno. Mickiewicz stosunkowo wcześnie, gdyż już w Epilogu do „Pana Tadeusza" niedwuznacznie siebie i innych emigrantów „zbiegami" nazwał, potępiając tchórzostwo tych, którzy „lękliwie nieśli za granicę głowy". Inni później. Dopiero w 1861 r., na wiadomość o manifestacjach warszawskich Adam Czartoryski pisze tuż przed swą śmiercią, piękny, wzruszający list do swego siostrzeńca, Andrzeja Zamojskiego, powierzając mu niejako kierownictwo spraw polskich: „Dziś — pisze — kraj sam ujął ster swego postępowania". Czyż trzeba wymowniejszego dowodu bankructwa emigracji?

Witold Kula

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Polemika

W 8 numerze „Kuźnicy" pisał Witold Kula pod moim adresem:

„Każe nam Żółkiewski do jednego autora po jedne (np. metodyczne), a do drugiego po inne (np. treściowe) sięgać elementy — ale przeraziłby się na pewno, gdybyśmy się pomylili i zaczerpnęli odwrotnie. — A więc np. każąc nam stanąć na płaszczyźnie autonomiczności i empiryczności humanistyki — odsyła nas następnie jako do szkoły metodologicznej do „Wienerkreisu". W pierwszej chwili myślimy, że jest w tym sprzeczność. Ale nie. Od „Wienerkreisu" wolno nam jedynie uczyć się rygorystyki poprawnego myślenia. A to, że teza o autonomiczności humanistyki jest najjaskrawszym przeciwieństwem carnapowskiego hasła „jedności nauki" — Żółkiewskiemu nie przeszkadza. Chcemy być dobrze zrozumiani. I nam imponuje surowy rygoryzm myślowy szkoły wiedeńskiej — i my też chcemy nowoczesnej metodologii empirycznej i autonomicznej humanistyki. Ale pomiędzy jednym a drugim jest sprzeczność, nad którą prześlizgnąć się nie można. Rzecz wymaga wielostronnej i gruntownej pracy, obliczonej na długą metę, opartej o zbiorowy wysiłek. Praca nad tworzeniem programu zbiega się tu w jedno z wykonaniem programu. — Pozytywny program kulturalny musi być całością organiczną, a nie łamigłówką różnorakich elementów".

Nie poruszałbym tej sprawy, gdyby była tylko moją osobistą. Lecz ten punkt moich wywodów atakowało wielu. Ustnie i na piśmie. Myślę, że poplątano tu sprawę stosunku do pewnej empirycznej dyscypliny naukowej ze stosunkiem do istotnie małowartej spekulacji filozoficznej. Obawiam się, że może mieć groźne skutki dla przyszłości naszego ruchu umysłowego — to odcinanie się od nauki pod pozorem odgrodzenia się od siakiej takiej spekulacji.

I dlatego chcę zabrać głos. Jestem winien. Daleki jestem od eklektyzmu. Radbym zbudować swój pogląd na świat jako jednolicie marksistowski. Cenię sobie zwartość i konsekwencję dobrze zbudowanego systemu.

Oczywiście popełniam ciągle subjektywne błędy w myśleniu. To w praktyce ludzkiej są rzeczy nieuniknione. Staram się je poprawiać. Tyle mogę.

Lecz w tym wypadku zawiniłem czym innym. Co mi się niestety nieporównanie częściej zdarza: niejasnością i nieporadnością, eliptycznością wykładu. Taki miał charakter ten ustęp mego artykułu w sierpniowym „Odrodzeniu", gdzie mówiłem „o pozytywnym programie kulturalnym".

Ale przejdźmy do meritum sprawy.

Pisarze zgrupowani w t. zw. Kole Wiedeńskim, zwani często neopozytywistami lub fizykalistami reprezentują w filozofii kontynuację szkoły Klacha, a więc empiriokrytycyzmu, typowo idealistycznej spekulacji filozoficznej. Wielu z nich pisało na te spekulatywne tematy książki — czy rozdziały w swoich pracach poświęconych innym zagadnieniom.

Lecz **zupełnie niezależnie** od swoich spekulacji zajmowali się logiką. Weźmy przykład: istnieje spór filozoficzny o podstawy matematyki. I nie jest naukowo obojętnym po której stronie w tym sporze filozoficznym opowiada się dany badacz, to wpływa na zakres i charakter jego badań **naukowych**, matematycznych. Tym niemniej korzystać można i trzeba bez obawy z **wyników matematycznych** każdego badacza, choćby wyznawał najbardziej nam obcą filozofię. O ile jego wyniki wobec ogólnonaukowych rygorów są poprawne. Podobnie jest i z logiką, którą należy traktować tak jak matematykę (świadomie pomijam tu subtelności stosunku logiki do matematyki).

Nasi wiedeńczycy w równie naukowy sposób i w ostatnich pracach niezależny od filozoficznej spekulacji uprawiali semantykę. Ta nauka, związana jest tak ściśle z częścią logiki i teorią relacji, że można ją traktować z takim samym zaufaniem jak logikę. Logika zaś dziś osiąga zupełnie poprawne — niezależne od spekulacji filozoficznych wyniki. Jest nieocenionym narzędziem badań nad teoria nauki. Pozwala wysoce usprawnić **technikę** tych badań. Posługiwanie się wynikami logiki, teorii relacyj, semantyki — to sprawa **techniki** badań metodologicznych i teoretyczno - naukowych, nie wpływająca na treść teoryj naukoznawczych. Otóż jestem zdecydowanie negatywnie ustosunkowany wobec spekulacji filozoficznej „wiedeńczyków". Odrzucam a limine cały neopozytywizm, fizykalizm. To są na gruncie myślenia humanistycznego — absurdy.

Lecz nie trzeba żadnych łamigłówek, żeby czytać podręczniki logiczne i rozprawy semantyczne. Te rzeczy tak się treściowo różnią od spekulacji filozoficznych — jak powiedzmy książka kucharska. Łatwo je odróżniać.

Moja wina, że użyłem wyrażenia „szkoła wiedeńska". To istotnie u czytelników skojarzyło się z mętaczeniami fizykalistycznymi.

Należało po prostu powiedzieć — „uczcie się logiki, zajmujcie się rozważaniami semantycznymi". I wyliczyć cenne podręczniki. Autorami tych cennych książek byliby „wiedeńczycy" — ale wtedy wyraźnie odciąłbym się od ich spekulacyj nawet teoretyczno - naukowych. Co należy zrobić.

W poprzednim 12 numerze „Kuźnicy" z dnia 18 listopada: Stefan Żółkiewski — Próba diagnozy. Adam Ważyk — U źródeł nowatorstwa w poezji. Stanisław Ehrlich — Venia legendi, czyli Okopy św. Trójcy. bd. — Rylejew — przyjaciel Polski. Adolf Rudnicki — Dzienniki. Piękna sztuka pisania.

Mieczysław Jastrun — Pieśń gminna. Bolesław Dudziński — Hipoteka sumienia. A. Sz. — Sens istnienia p. Staronki — bd. — Nowe książki. Paweł Hertz — „Okno bez krat" Antoniego Słonimskiego. Ocena po latach. Adam Ważyk — Rozmaitości — Mgła. O poziom objaśnień w narodowym wydaniu dzieł Mickiewicza — ankieta. ph. — Przegląd prasy. Noty.

ADAM WAŻYK

O tłumaczeniu wierszy rosyjskich

Te cztery niewielkie przykłady z Puszkina są owocem wielotygodniowej medytacji. Tak się złożyło, że niejednokrotnie wracałem do nich w ciągu czterech lat, aby zmienić jedno słowo, albo całą frazę. Mogę więc powiedzieć z czystym sumieniem, że lepiej tych wierszy przełożyć nie potrafię. Czytelnik sam rozstrzygnie o wartości przekładów, jeśli zna i ceni oryginał. Ten skromny wynik serdecznej udręki tłumacza traktuję zarazem jako próbę odpowiedzi na pewne sporne sprawy techniczne, zaprzątające tłumaczy wierszy rosyjskich. Zarzuciłem rym męski, rytmikę jambiczną zachowałem w dwóch przekładach, gdy tymczasem w 2-ch innych przeszedłem do wiersza sylabicznego. Zrobiłem to wszystko, aby ominąć trudności, które może kto inny pokonałby osiągając — jestem o tym święcie przekonany — Phyrrusowe zwycięstwo.

Czytając przekłady z poezji rosyjskiej, często odnoszę wrażenie, że tłumacze traktują utwory w oderwaniu od ogólnych właściwości technicznych wersyfikacji rosyjskiej i polskiej. Odwzorowanie wersyfikacji rosyjskiej w każdym poszczególnym wypadku uchodzi za jeszcze jeden dowód wierności przekładu. To przeświadczenie i ta praktyka opiera się w dużej mierze na autorytecie Tuwima, na imponujących technicznie wynikach jego przekładów z Puszkina.

A tymczasem rola tej samej formy technicznej nie jest ta sama w obu językach poetyckich.

KLĄTWA MĘSKIEGO RYMU

W trakcie tłumaczenia rym, ta dziecinna zabawa poetów, decyduje o całej zawartości zdania. Przedtem szuka się rymu, a potem kształtuje się tekst. Ubóstwo rymów męskich w polszczyźnie ogranicza mowę, myśl, obrazowanie, wszelkie środki przekładu, stawia tłumacza wobec oryginału w sytuacji ubogiego krewnego. W zamian za wyrzeczenia tłumacz uzyskuje męski rym. Czy uzyskał przez to odpowiednik oryginału? Czy gra warta świeczki?

Język rosyjski ma zmienny akcent. Równie często, jeśli nie częściej, akcent pada na ostatnią głoskę, jak na inne. Nie wiem czy ktoś to obliczał i do jakich doszedł wyników. Dla poezji miarodajna będzie praktyka poezji. Jak to się układa u Puszkina? „Domek w Kołomnie" — rym męski i żeński po równi. W „Miedzianym jeźdźcu" i „Połtawie" rym męski osiąga, zdaje się, pewną przewagę. Można tłumaczyć to dynamicznym charakterem tych poematów, ale ta okoliczność odpada chyba, jeśli idzie o „Eugeniusza Onegina". A jednak budowa strofy tego najdłuższego poematu rosyjskiego daje proporcje rymów męskich do żeńskich, jak 4:3.

Na przestrzeni całej poezji polskiej rym męski zjawia się niezmiernie rzadko i to tylko w krótkich utworach. Ubóstwo polskich rymów męskich w porównaniu z zasobem rosyjskim nie sprowadza się jednak do samej tylko różnicy ilościowej. Rymem męskim może być u nas wyłącznie wyraz jednozgłoskowy. Zbierając rymy męskie, gromadzi się coś więcej: monosylaby. Daje to inny wydźwięk, ostrzejszy, grozi stukotem i zgiełkiem, jednostajnością frazy i obsesją, w każdym razie wytwarza inną kadencję zdań aniżeli w rosyjskim czy francuskim.

Tłumacząc poezję francuską, z reguły zastępujemy rymy męskie żeńskimi. Czemu nie stosujemy tej samej miarki do poezji rosyjskiej? To fatalne nieporozumienie ciąży na naszych przekładach od dawna. Leo Belmont zamyślił przełożyć w rymach męskich „Onegina". Pozbawił się z góry wszelkiej możliwości godziwego odtworzenia oryginału, mimowoli wykazał niedorzeczność tej zasady, bo najmniej przypominają „Onegina" te właśnie stukoczące rymy.

Tuwim tłumaczył Puszkina z pasją i bezprzykładnym umiłowaniem. Świetna na ogół „Lutnia Puszkina" jest owocem wieloletniej męczarni, o której może wiedzieć tylko ten, kto zdając sobie sprawę z trudności, próbował przegryźć choćby kilka wierszy Puszkina. Tuwim po mistrzowsku przełożył „Jeźdźca Miedzianego" i „Połtawę", zachowując męskie rymy prawie w tej samej proporcji, co w oryginale. W tym wypadku przemawia za uporem Tuwima charakter wiersza i dynamika utworów. Czytając te piękne przekłady, wciąż podziwiamy kawalkadę męskich rymów, która jednak nie usztucznia tekstu. I właśnie ten niezwykły w polszczyźnie eksperyment zwłaszcza kiedy rym męski związuje dystych, ściąga naszą uwagę na rymy, stowem, daje efekt, przed którym Puszkin zawsze się wzbraniał. Kto wie, czy nie lepiej byłoby utemperować techniczną wirtuozerię?

Zachowanie rymów męskich Tuwim traktował jako regułę. Niekiedy pozwalał sobie na odstępstwa i nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek wyszło to przekładowi na złe. Natomiast niezrozumiały upór skazał na niepowodzenie przekład takiego wiersza, jaż „Droga zimowa", gdzie cały charakter utworu — przewlekła zima, nuda jadącej sanny, westchnienie do kominka, słodka myśl o ukochanej — wcale nie inwokuje polskich rymów męskich.

Przyjmując zasadę żeńskich rymów w przekładach, możemy uznać potrzebę rymu męskiego w takich wierszach Puszkina, jak „Wieczór zimowy", „Pomnik" i bardzo wielu innych, możemy w pewnej mierze uwzględniać właściwości techniczne poezji rosyjskiej, ale forsując je na gwałt w przekładzie na polski, zniekształcamy jej obraz.

NIEBEZPIECZEŃSTWA JAMBÓW

Dla informacji nieuświadomionego czytelnika trzeba wyjaśnić pokrótce, na czym polega wiersz sylabotoniczny, przeważający w poezji rosyjskiej od czasów Łomonosowa. Poezja rosyjska zna jeszcze inne typy wersyfikacji, ale do tego tpyu i zwłaszcza do jambu najczęściej wracają także poeci współcześni. Wiersz sylabotoniczny rozciąga się na ustalonej siatce akcentów. Naprzykład w wierszu jambicznym akcent może padać tylko na co drugą sylabę, choć nie musi. Pod żadnym pozorem nie może przypaść na sylabę pierwszą, trzecią, piątą... Poezja polska zna także wiersz jambiczny, ale nawet jamby polskie są tyle luźniejsze, że pozostawiają swobodę akcentowania pierwszej sylaby (patrz dwa ostatnie przykłady). Nawet i tutaj dochodzi tendencja przeciwna rygorystycznej siatce akcentowej, a niewątpliwie pochodzi ta tendencja nie z jakiejś umowy, ale z właściwości języka o stałym akcencie.

Wiersz sylabotoniczny ma inny wydźwięk po rosyjsku, a inny po polsku. We wierszu polskim ustalona siatka akcentów, a w miarę jak się rozciąga, staje się wyróżnioną właściwością formy technicznej, natrętną, tłumiącą inne właściwości utworu. Siatka może rozciągać się wzdłuż — to kwestia długości utworu, albo wszerz — to znów zależy od miary wiersza. Rosyjski jamb czterostopowy ma odpowiednik w polskim dziewięciozgłoskowcu. Tu jeszcze jamby układają się bez ostentacji czy natręctwa, ale kiedy w grę wchodzi dłuższa miara, kalkulując formę techniczną oryginału, nadajemy przekładowi naprężenie techniczne, obce oryginałowi.

We wstępie do „Lutni Puszkina" Tuwim pisze: „W rytmice i melodyce wiersza starałem się pozostać jak najbliżej oryginału, ale i tutaj są częste potknięcia". W tych słowach tkwi poważne źródło nieporozumienia. Puszkin przeniósł do poezji rosyjskiej aleksandryn francuski, rozciągając go ponadto na siatce jambicznej, a jak wiadomo, potrafił posługiwać się tą siatką bardzo dyskretnie. Tuwim starał się w wielu wypadkach odwzorować tę rytmikę („Muza", „Umilknę wkrótce już"...). Artystostwo techniczne, które osiągnął w tych przekładach, zasługuje na podziw, trudno wyobrazić sobie doskonalsze przekłady, które by zachowały i francuską cezurę aleksandrynu i rosyjski jamb, cóż, kiedy sama zasada obraca się przeciwko Puszkinowi, poecie najstaranniej ukrytych środków technicznych, zniekształca stosunek między formą metryczną a kanwę uczuciową tych lirycznych wierszy.

O ile słuszniej będzie tłumaczyć tak, jak się tłumaczy aleksandryn francuski — sylabicznym 13-zgłoskowcem. Polski 11-zgłoskowiec należy przyjąć za stały odpowiednik rosyjskiego pięciostopowego jambu. Dopiero w dziewięciozgłoskowcu naprasza się i polski jamb. Naprasza się — i tutaj zaczyna się nowa rozterka, postępująca nie wszerz, ale wzdłuż, bo taką miarą pisane są długie poematy rosyjskie. Pięćdziesiąt strof „Onegina" po rosyjsku przepłynie przez czytelnika jak strumień czystego powietrza. Po pięćdziesięciu takich ładunkach jambicznych po polsku nie możemy poczuć się inaczej, jak podróżni usypiający w wagonie kolejowym przy rytmie tłoków. Jak więc przekładać „Onegina"? Już samo odrzucenie rymów męskich pozbawia sensu całą strukturę 14-wierszowej strofy poematu. Jedenastozgłoskowiec byłby ubraniem na wyrost, tłumacz musiałby podrzucać watę, a spróbujcie, proszę watować Puszkina! Zastanawiałem się nad tym nieraz i przyznaję, że nic nie potrafiłbym doradzić tłumaczowi.

Oddaję to pod rozwagę poetów i czytelników.

Z LIRYKI ALEKSANDRA PUSZKINA

* * *

Pierzcha lotnych obłoków gromada niesforna,
O najsmutniejsza gwiazdo, o gwiazdo wieczorna!
Osrebrzyłaś promieniem równinę jesienną
I czarnych skał wierzchołki i zatokę senną.
Lubię z wyżyn niebieskich twoje światło nikłe,
Co zbudziło me dumy od dawna zamilkłe.
Pomnę kiedyś planeta znajoma wschodziła
Nad krajem, gdzie zalega cisza sercu miła,
Gdzie wystrzeliły smukłe topole w dolinach,
Gdzie cyprys ciemny drzemie i mirt się przegina,
I słodko szumią fali południowej piany.
Tam ja niekiedy w górach, sercem zadumany,
Ponad morzem leniwe wlokłem rozmarzenie,
Kiedy na strzechy nocne opadały cienie
I dziewczę wśród rówieśnic we mgle cię szukało
I swoim cię imieniem głośno nazywało.

* * *

O powiernico urody zamierzchłej,
Wróżko swawoli płochej i żałosnej —
Znałem ja ciebie we dniach mojej wiosny
Zanim sny pierwsze i uciechy pierzchły.

Czekałem ciebie: o godzinie szarej
Jawiłaś mi się starowinką trzpiotką,
Kaftan i wielkie miałaś okulary,
I potrząsałaś ochoczo grzechotką.

Kołyskę lekko trącając, tak chętnie
Tyś młody słuch mój piosenką głaskała
I śród pieluszek zostawiłaś fletnię,
Którą twa dobra dłoń zaczarowała.

Snem lekkim zbiegła dzieciństwa godzina,
Kochałaś chłopca w jego próżnym smutku,
Wśród muz dostojnych on ciebie wspominał,
Aż nawiedziłaś go znów pocichutku...

Lecz twoja postać, twoja-li to szata?
Jakaż go miła przemiana zaskoczy!
Jakaż się w uśmiech twój iskierka wplata!
Jakaż iskierka wabią twoje oczy!

Strój, co spowijał cię falą zawrotną,
Ledwie mógł ująć twoją kibić lotną.
Wieniec obciskał rozkoszną fryzurę,
Z upiętych loków perfuma pachniała.
Łabędzia pierś pod żółtym pereł sznurem
I rumieniła się i lekko drżała.

* * *

Nie śpiewaj przy mnie urodziwa
Dziewczyno pieśni Gruzji smętnej,
Inne się życie w nich odzywa
I widzę w dali brzeg pamiętny.

W wspomnieniu widzę dojmującem,
Słysząc okrutne twe przyśpiewy,
I step i noc i pod miesiącem
Rysy niebogi czarnobrewej.

Tę miłą a fatalną zjawę
Zapomnę, gdy podejdziesz do mnie,
Ale zaśpiewasz i niebawem
Przede mną stanie znów przytomnie.

Nie śpiewaj przy mnie urodziwa
Dziewczyno, pieśni Gruzji smętnej,
Inne się życie w nich odzywa
I widzę w dali brzeg pamiętny.

BURZA

Czyś widział dziewczę, gdy na skale
Stanęło w bieli nad falami
I gdy w burzowej mgle zuchwale
Morze droczyło się z brzegami,

Gdy ją raz po raz grom oplatał
Wstęgą świetlistą i czerwoną,
I wiatr borykał się i latał
Z ulatającą jej zasłoną?

Piękne są we mgle morskie fale
Kiedy się z nieba błysk wynurzy:
Wierzą mi, piękniejsze na tej skale
Dziewczę — od nieba, fal i burzy.

przełożył Adam Ważyk

MAKSYMILIAN M. BORWICZ

Witaminy

...„Obóz na Janowskiej był.. czymś w rodzaju kursów dokształcających dla komendantów i dozorców rozsyłanych potem do innych obozów. Tutaj, pod fachowym kierownictwem specjalizowali się w wyszukiwaniu takich sposobów mordu, które skazańcowi prócz śmierci przysporzyć mogą jak najwięcej cierpień. Tu prześwidrowywano ludziom brzuchy tępym kijem, zamrażano ich w beczce z wodą, tutaj hitlerowcy pokazywali sztuki, strzelając do dzieci podrzucanych w górę lub rozrąbując je siekierą na pół, jak się rozrąbuje pień drzewa. Obóz na Janowskiej — to był uniwersytet bestialstwa; ale Majdanek, Dachau, Oświęcim, Buchenwald — to gimnazja tego samego bestialstwa, którego szkołą początkową jest wychowanie niemieckie „hitlerowska tresura..."

(„Nowe widnokręgi": Niemiecka dusza)

STACJA KLEPARÓW

Żeby dojść do stacji kolejowej „Kleparów", mieszczącej się za przedmieściem Lwowa, należy przebyć do końca ulicę Janowską i tutaj, tuż obok bramy obozu, skręcić w gościniec na lewo. Na miejsce to dowożono tramwajowymi lorami dziesiątki tysięcy kobiet i mężczyzn, starców i dzieci. Tutaj odzierano ofiary z porządniejszych ubrań i obuwia. Tutaj — odartych lub wręcz nagich, zmaltretowanych i pobitych ładowano do wagonów. Tutaj pociągi widma odrutowywano i plombowano, tu przydzielano im eskortę, stąd owe wagony odchodziły. Część załadowanych na tym miejscu ludzi umierała już w drodze z wycieńczenia i z ran, ze ścisku i z zaduchu. Cząstka, mimo odrutowania i oplombowania wagonów, wydostawała się na zewnątrz i zeskakiwała w czasie biegu pociągu. Za desperatami rozlegał się warkot automatów i padały pociski. Trasę pociągu znaczyły trupy wzdłuż kolejowego nasypu. W mroźną zimę mieszkańcy okolicznych wsi spotykali ludzi nagich, których oczy przesycił obłędny lęk lub zacięta rezygnacja. Rozbitki-upiory ginęli z mrozu, głodu lub od kuli pod płotem. Jedni dlatego że nie mieli się czym opłacić, drudzy dlatego że zachowali jeszcze pieniądze lub biżuterię. Niektórzy zdobywali schronienie, nieliczni po długiej włóczędze i nieludzkich doświadczeniach docierali do partyzanckich oddziałów. Jeszcze inni, już odratowani i nawet już jako tako przyodziani wracali do Lwowa. Do tych powrotów trącących koszmarnym fatalizmem jednych gnał głód i mróz, drugich śmiertelna tęsknota za dzieckiem, za matką, za ostatnim najbliższym, którego Niemcy nie zdążyli jeszcze zamordować. Bywali tacy, których po trzykroć ładowano w pociągi śmierci na Kleparowie, zanim dobili do gazowni Bełzca czy Soliboru, lub znaleźli wreszcie śmierć we Lwowie, na przyobozowych „piaskach".

Niedaleko stąd, przed bramą lagru, na ul. Janowskiej padały również strzały do oprawców, strzały oddawane przez więźniów prowadzonych na śmierć. Tabuny pocisków ze szybkostrzelnych automatów nakrywały i uciszały liryczne wypryski biednych „siódemek" i heroicznie bezsilnych „szósteczek". I tylko my, nieliczni, pozostali przy życiu, wiemy, ilu trzeba było przezwyciężeń, ilu trudów, by ową raczej liryczną niż bojową broń zdobyć, a ilu by owe strzały z tej broni tutaj padły. Było to już w miesiącach ostatnich, schyłkowych.

Tędy, w dniu ostatecznej likwidacji obozu przebiegali więźniowie, którzy w pełnym ogniu likwidacji, gołymi rękami porwali zasieki kolczastego drutu, w gradzie słanych za nimi pocisków, po trupach ugodzonych w tej ucieczce towarzyszy, dobić do brzuchowickiego lasku, stamtąd do partyzantki.

Budynek stacyjny jest niepozorny. Na wyszarzałych, obitych i brudnych ścianach zachowały się gdzieniegdzie szczątki przedwojennych napisów. Między nimi slogan: „Gotuj na gazie!" Wywieszka ta nie miała zresztą nic wspólnego z trasą wzmiankowanych pociągów; umieszczono ją tutaj w momencie, gdy nawet najbardziej zwyrodniała fantazja nie mogłaby przewidzieć okupacyjnej rzeczywistości.

KONCERN

Poza tym Kleparów spełniał dalej anemiczną funkcję zamiejskiego przystanku, gdzie stosunkowo nieliczni pasażerowie nudzą się, czekając na stosunkowo nieliczne pociągi. Sąsiedztwo obozu fundowało tym pasażerom widowiska, jakich inne stacje podróżnym dawać nie zwykły.

Bowiem zważmy: Fabryki śmierci, którymi hitleryzm pokrył Europę, były oddziałami olbrzymiego koncernu z wspólną dla wszystkich radą nadzorczą. Poszczególne człony koncernu przesyłały sobie wzajemnie wyniki doświadczeń z zakresu sadyzmu, fachowców w tejże dziedzinie, materiał eksperymentalny w postaci więźniów, i nawet akcesoria techniczne. W stosunku do innych katowni obóz lwowski spełniał rolę wyższej uczelni zwierzęcości: szkolił kwalifikowanych specjalistów. Niezależnie od tego wysyłał transporty więźniów do swoich filij, i na odwrót — przejmował wysortowanych niedobitków z oddziałów likwidowanych. Ponadto zajeżdżały na stację Kleparów pociągi załadowane ścianami rozebranych gdzie indziej baraków i w ogóle materiałem budowlanym. W takich razach następowały „witaminy".

WITAMINY MAŁE.

Witaminy?

Trudno powiedzieć, kto wymyślił tę nazwę. Jak wiele innych, weszła ona tak dalece w krew obozowego słownictwa, że dla każdego więźnia była zupełnie jednoznaczna. „Witaminami" określono mianowicie prace nadprogramowe, możnaby rzec — imponderabilia. Stąd zapewne ich miano. Albowiem w obozie było tak: każdy więzień był przydzielony do jednej z licznych brygad, każda brygada pracowała przewidzianą regulaminem ilość godzin na przewidzianej w obozowym regulaminem placówce. A cała reszta? Od tego były właśnie witaminy.

Więc np. gdy załogi pracujące w przylegających do centralnego lagru D.A.W. maszerowały w południe na imitację zupy, w drodze między drutami D.A.W. a drutami obozu wewnętrznego esesowcy zatrzymywali kroczących przed magazynem. Tutaj każdy z setek więźniów musiał zabierać ciężary, które należało przenieść na przeciwległy koniec lagru. W rezultacie przemieszczenie dużego magazynu trwało niepełna godzinę. Godzinę przeznaczoną na obiad. Za to później następował żywiołowy tłok pod okienkiem kuchni i z braku czasu, zamiast zupy, zbierali więźniowie siarczyste baty za „nieporządek". Mimo to do warsztatów wracali z opóźnieniem. W efekcie znęcali się nad nimi znowuż esesowcy, strzegący regulaminu D.A.W.

NOCĄ I WIECZORAMI

Godziny nocne również nie były objęte zwykłymi zajęciami, więc budzono do witamin także w nocy. Całkiem zresztą być może, że w pojęciach esesowców właśnie na to Bóg dla więźniów noc stworzył. Najchętniej zarządzano jednak witaminy bezpośrednio po zajęciach codziennych, wieczorem, kierując więźniów do noszenia wzmiankowanych już materiałów budowalnych z kleparowskiego dworca.

Esesowcy, askarzy i lagerpolicyści tworzyli wtedy szpaler po obu stronach gościńca, wiodącego od bramy lagru do kolejowej stacyjki. Gościniec był jasno oświetlony. Między szpalerami ciągnęły kolumny więźniów. Piątka za piątką, brygada za brygadą, setki za setkami, tysiące za tysiącami. Załogi D. A. W., grupy wewnętrzno-lagrowe i brygady miejskie. Wszyscy po całodziennej, ciężkiej pracy. Nogi ciążyły jak ołów, lecz trzeba było iść raźno, ponieważ tempo regulowały „rajtpajcze" i rewolwery esesowców oraz kolby karabinów którymi manewrowali askarzy. Gdy padał rozkaz „Laufschritt", nie wystarczyło biegnąć; trzeba było jeszcze uważać, by w klimacie biegu i zdenerwowania nie pomieszać piątek i nie wywołać zatoru. Kilkadziesiąt metrów za budynkiem stacyjnym zbiegało się po skarpie w dół, do leżącego poniżej drogi kolejowego wiaduktu. Tutaj należało spiesznie obładować się balastem i z ładunkiem gwałtownie zawracać. Na podwyższeniach stali esesowcy z gotową do strzału bronią i z rozhuśtanymi batogami. Znaglali do pośpiechu krzykiem, kopnięciami, dzieleniem razów, strzałami w powietrze i strzałami w tłum więźniów, pomnażając tym wszystkim panikę.

Były trzy rodzaje witamin: witaminy „B", witaminy „C" i witaminy „D." Belki, cegły i deski. Na dwóch schorowanych i wycieńczonych ludzi ładowano nieraz tyle, ile w zwykłych warunkach niosło by co najmniej pięciu. Większość z tych, którzy upadli przy dźwiganiu, nie powstawała już z ziemi. Tuż przy wagonach jeden z oprawców uderzył np. starszego człowieka kolbą. Gdy ten upadłszy, nie mógł się podnieść, esesowiec wcisnął mu głowę w niewielką kałużę. Męczony zaczął się dusić; wtedy esesowiec go zastrzelił.

Takich, którzy nosić nie potrafili, odstawiono „za druty" t. j. między podwójne kolczaste zasieki, opasujące obóz kilkoma pierścieniami o różnej średnicy. Ofiary przebywały tam całą noc. Rano, na pół zamarzniętych, ładowano do aut i odwożono na stracenie, na przyobozowe „piaski". Po jednej z witamin, trwającej od godz. szóstej wieczorem do dwunastej w nocy, odstawionych na śmierć było stu trzydziestu.

Pod mianem witaminy „D" rozumieli obozowcy również całe ściany, względnie inne części rozebranych gdzieś, a tu dostawionych baraków. Ścianę taką niosło czterech ludzi. Ciężar bywał zresztą stosunkowo znośny. Za to ich rozmiar zmuszał do samorozwiązywania się ortodoksyjnych piątek. Gościniec na przestrzeni setek metrów nakropkowany był przecinkami więźniów, ponad którymi unosiły się wielkie płaty, podobne do teatralnych dekoracji. Zatory i wzajemne potrącanie się płynących w powietrzu ścian były, zwłaszcza przy wymijaniu się, rzeczą samą przez się zrozumiałą. Na domiar — gościniec od dworca do bramy lagru to był dopiero pierwszy odcinek drogi. Minąwszy bramę, trzeba było przemierzyć węższą już od gościńca ulicę wiodącą do drutów wewnętrznych, potem przestrzeń dzielącą druty od punktu wyznaczonego na składanie. Tutaj, zrzuciwszy szybko jeden ładunek, należało natychmiast wracać po następny, lecz wracać regularnymi piątkami, które zdążyły już po stokroć pomieszać się i pogubić.

Zdarzyło mi się kiedyś, że — zmęczony — zamiast nawrócić, ukryłem się za stosem składanej właśnie witaminy. Akurat w tym momencie nadbiegł esesowiec. Leżąc na wznak, słyszałem, jak — wskazując w moim kierunku — krzyknął: — „Odrzucić tego trupka, żeby nie zawadzał w ustawianiu cegieł!" Uświadomiłem sobie wtedy, że nadczłowiek dojrzał wychylające się z za stosu moje nogi. Na szczęście, wziął je za kończyny przygodnego nieboszczyka. Dzięki tej drobnej pomyłce, zaoszczędził mi roli nieboszczyka rzeczywistego.

NA „PIASKACH"

Niebawem skromna stacja Kleparów wzbogaciła się o jedną jeszcze funkcję: zamiast wysyłać odrutowane i oplombowane wagony, zaczęła je przyjmować. Nie tylko niedobitków ze zlikwidowanych obozów na prowincji, lecz transporty przeznaczone w całości na rzeź bez zwłoki.

Skazańców prowadzono na „piaski", do doliny śmierci. Tam rozstrzeliwano ich z automatów, rzędami. Ponieważ była to metoda mniej nowoczesna od gazowania i mniej do hurtowych egzekucyj przystosowana, liczni nieszczęśliwcy dogorywali dopiero na stosie, zastępującym znowuż krematorium. Pewnego razu wracająca z kąpieli miejska brygada „Reinigung" spotkała na drodze pijanego esesowca Brombauera. Zataczał się i upadał. Spostrzegłszy obozowców, zatrzymał nas, prosząc lirycznie o pomoc. Sytuacja była kłopotliwa. Jeden z kolegów, za zgodą eskorty, przywołał dorożkę i pomógł esesowcowi wygramolić się na nią. Brombauer był wzruszony. Ścisnął dłoń więźnia i patrzył na niego z pijackim rozczuleniem: — „Dziękuję ci serdecznie, bardzo serdecznie (sehr herzlich!). Chcę ci się wywdzięczyć. Ale co ja mogę dla ciebie zrobić? Dam cię, jeśli chcesz, do dobrej brygady. Ale to za mało. Wiesz, gdy będziesz już na piaskach, a ja będę przy „wysiedlaniu", krzyknij tylko „Brombauer!" Strzelę do ciebie tak celnie, że ani chwili nie będziesz się męczył". W intencjach mówiącego nie było w tej chwili ani szczypty cynizmu. Była to tylko serdeczna szczerość pijanego, który na prawdę chciał usłużnemu więźniowi wywdzięczyć się bardzo szczodrze.

Przy trupach pracowało specjalne komando, zwane „brygadą śmierci". Zwłoki świeżo zamordowanych i zwłoki dawniejsze (wykopywane z masowych grobów) „tragarze" wlekli na stos. Układano na przemian warstwę trupów i warstwę drzewa. Stos oblewano benzyną, za czym podpalano go za pomocą rakiety. Potem ludzie z „brygady popiołowej", siedząc na ławeczkach, przesiewali popiół przez sito. Pewna ilość na pół stopionych łańcuszków, złotych szczęk, pierścieni i medalionów zabierali esesowcy. Grubsze grudy żużla z ludzkich ciał rzucano do specjalnej maszyny, która mełła je na drobny proszek. Wśród dziesiątków tysięcy innych, spłonęły na wzmiankowanym stosie ciała wykładowców uniwersytetu lwowskiego, z nimi — prof. Bartla, b. prezydenta miasta Ostrowskiego, Stożka... Ludzi tych zastrzelono dużo wcześniej na wzgórzach wóleckich. Przy późniejszym opróżnianiu rozsianych w różnych miejscach masowych grobów wykopano stamtąd ich ciała i przewieziono tutaj, na puszczenie z dymem.

WITAMINY ŁAGODNE

Na wiosnę witaminy były jeszcze częstsze, lecz ich przebieg nieco złagodniał. Było już cieplej, wieczór zapadał później, rozbudowa różnych obiektów sprawiła, że podczas niektórych witamin esesowcy ograniczali manifestacje krwiożerczych odruchów. Naturalnie zostawał dodatkowy trud po całodziennej pracy — rzecz w obozie stosunkowo najmniejsza. Taką właśnie łagodną witaminą była i niżej opisana.

Więźniowie kroczyli ze stacji Kleparów do lagru niekończącym się sznurem piątek, każdy z ładunkiem cegieł. Równocześnie w kierunku przeciwnym walił, marginesem jezdni, łańcuch tych, którzy złożywszy jeden balast, wracali po następny. Do nich wkluczały automatycznie kolumny wracające o tej porze z miasta, m. i. brygada „Reinigung" do której wtedy należałem.

Rzeczy wiadome. Kłopot tylko z dwoma kroczącymi najbliżej kolegami, chorymi na tyfus. Przy witaminie „D" mimo pozory, z takimi łatwiej. Rozgorączkowany pacjent wyciągniętymi w górę dłońmi ujmuje jedno z czterech naroży ściany i zamiast unosić je — idąc — zwiesza się na nim. Pozostałych trzech musi to jakoś nadrobić. Ale cegły nosi każdy oddzielnie. Tyfusowca trzeba zatem wziąć w środek piątki i, w miarę możności, osłaniać.

Przy wagonach reguluje ruch esesowiec Schönbach, rosły brunet o tryskającej zdrowiem, pucołowatej twarzy i o żywym spojrzeniu. Stoi pośrodku wrzawy, wymachując rewolwerem. Od czasu do czasu krzyczy i od czasu do czasu dzieli kopniaki. Sznury więźniów przebiegają obok niego, każdy więzień ładuje nerwowo stertę cegieł i biegnie dalej. W drodze — ułoży je sobie wygodniej, tu wystarczy byle jak, iżby się tylko nie zatrzymywać. Gdy powstaje zamieszanie w większej od niego odległości, Schönbach rzuca w kierunku takiego miejsca ułamkiem cegły lub deski. Dzisiaj rzuty te nie są jednak śmiertelne i następują raczej rzadko. Widać — nastrojony jest wiosennie i łagodnie. Schönbach umie zresztą bywać ludzki. Przynajmniej w tym sensie, że od czasu do czasu, wchodząc w rozmowy z mordowanymi przez siebie Żydami, z nagła — jakby zupełnie zapominał o swojej godności nadczłowieka — zwierza się z intymnych spraw, mówi o swojej miłości do żony i do córeczek, o tym jakby je pragnął wychować, oraz, że „żyje tylko dla nich". Strzela wciąż i chętnie, jest jednym z czołowych „strzelców" obozu janowskiego, ale czasem mówi, że „z obowiązku". Niekiedy, gdy trzeba wyciągnąć z bunkra skazanego na śmierć, zabiega o to u szefa obozu właśnie on — za cenę ofiarowanej mu dyskretnie flaszki likieru lub za pewną ilość czekolady. Nie chodzi przy tym o materialną wartość wymienionej rekompensaty, bowiem w obrotach dygnitarzy obozowych były to błahe drobnostki. Likier i czekolada spełniały rolę kwiatów: kurtuazja za kurtuazję. Kilka dni temu Schönbach — do spółki z esesowcem Kolanką — znęcali się nad chłopakiem wiejskim. Ustawiali go w odległości kilku metrów od siebie i walili w głowę deską o takiejże długości. Gdy chłopak wreszcie upadł, kopali długo, gdzie popadło, w pośladki, w brzuch, w plecy. Potem nakazali askarom walić go nahajkami. Następnie zaczęło się od początku. Katowany w pewnej chwili jęknął: „O Jezu! już wystarczy!" Wtedy Schönbach soczystą polszczyzną: — „Wystarczy?.....! ja się jeszcze nawet nie rozgrzałem". Katowanie trwało ponad godzinę, w oczach wszystkich brygad, zgromadzonych akurat na wymarsz do kąpieli. Później, podczas rozmowy z obozowcami, tłumaczył Schönbach, że nie biłby tak, ale zdenerwowała go „nieludzka" wytrzymałość tego Polaka. To, że nie skonał po pierwszych razach. Poza tym: „Ubocznie mówiąc, widzicie z tego, że ja nie mam specjalnej nienawiści do Żydów. Ja traktuję każdego równo".

Wspomniany wyżej esesowiec Kolanko również bardzo lubił uchodzić za „dobrego". Wymierzając często karę chłosty w czasie rannych apeli, nakazywał skatowanemu biegiem „abhauen". Ponieważ po pięćdziesięciu czy stu nahajkach więzień poruszał się ciężko, oprawca strzelał do niego. Tym niemniej on, Kolanko (utykający n. b. na jedną nogę i dlatego np. do roli więźnia absolutnie niezdolny) chciał uchodzić za „dobrego esesowca", więc głośno, w przytomności pełnego apelu, wyjaśniał: — „Chciałem mu wymierzyć tylko lekką karę, lecz ponieważ okazał się kaleką, musiałem go uśmiercić". Raz, więzień prowadzony przez niego na stracenie, zmasakrował go kajdanami w które był okuty. Kolanko odleżał kilka dni. Potem, pokazując rany i sińce, skarżył się: „— Patrzcie, to zrobił mi Żyd! I jakże ja mam być dla Żydów dobry?"

INNI SĄ TAKŻE „LUDZCY"

Tasiemiec więźniów objuczonych cegłami przesuwa się bez przerwy. Jest jeszcze zupełnie jasno.

W wydrążeniach obu filarów bramy obozu znajdują się bunkry, będące przedsionkami śmierci. Są one b. ciasne, uwięzieni muszą stać. Wejście do nich zamyka tylko żelazna krata, co pozwala czekających na śmierć oglądać.

Na to właśnie są owe bunkry tu i tak pomyślane: widok skazańców winien służyć za moralną przestrogę dla przechodzących tedy kolumn. W tej chwili znajduje się w wydrążeniu filaru jedna kobieta i dwóch mężczyzn. Ci którzy znajdowali się tam rano, już nie żyją.

Do filaru z bunkrem przytyka parterowy domek „wachy" z werandą. Na werandzie bawi teraz wytworne towarzystwo i napawa się urokiem wiosennego wieczoru. Zeszła się śmietanka SS i wystrojone panie. Zabawiają się rozmową i świadczą sobie grzeczności, spoglądając na ciągnące przed nimi kolumny z witaminą „C" oraz na skazańców w bunkrze. Najwyższy kapłan obozowych misteriów — untersturmführer Gustaw Willhaus, wysoki, o pociągłej twarzy Mefista z haczykowatym nosem, oparł się z wyrazem zmęczenia i dystyngowanej niedbałości o drewnianą poręcz werandy. Człowiek ten kieruje wszystkimi „akcjami", jest postrachem miasta i obozu. Nietylko wydaje i dopilnowuje rozkazów, lecz osobiście bije, hurtownie strzela, wiesza, kraje żywcem. Tym niemniej nawet untersturmführer Gustaw Willhaus nie jest pozbawiony cech ludzkich. Kocha swoje dzieci i często bawi się z nimi na balkonie swej willi. Dla sprawienia im przyjemności strzela z balkonu na odległość do więźniów, którzy znajdą się przypadkowo w zasięgu jego broni. Gdy przy dalekich barakach od strzałów tych pada jeden i drugi więzień, maleńka córeczka Willhaus — Heike klaszcze radośnie w rączki: „— Zuch z tatusia! Jak ty celnie strzelasz!"

Wśród gawędzących na werandzie znajduje się również małżonka władcy — Otilie Willhaus. Także ona lubi strzelać do żywych celów nie tylko w obozie, lecz i we Lwowie. W skórkowej torebce nosiła wykwintny rewolwer damski i w czasie każdorazowej „akcji" wychodziła na spacer, by postrzelić jednego czy kilku ze ściganych Żydów. A przecież i Frau Otilie posiada uczucia ludzkie. Kocha się w tualetach i wzywa do siebie krawczynie-Żydówki dla zamówień, które tai nawet przed własnym mężem. Drugim jej ludzkim uczuciem jest strach przed tymże małżonkiem. Gdy on ziawi się w mieszkaniu w momencie kiedy jego Frau konferuje z krawczyniami, Otilie truchleje z lęku i ukrywa rzemieślniczki niczym ostatni „wujek żydowski". A może boi się tylko, że porywczy Gustaw zamorduje owe kobiety zanim jeszcze tualeta jej będzie gotowa? To byłoby przecież „in der Tat — schrecklich". Teraz Otilie Willhaus siedzi na werandzie, upajając się łagodnością ciepłego wieczoru i składanymi jej komplementami.

Naprzeciw niej, między innymi paniami, siedzi untersturmführer Rokita, były skrzypek jazz-orkiestry w kawiarniach Katowic i warszawskiej „Oazy". Zrazu był zastępcą Willhausa, teraz jest komendantem obozu w Tarnopolu, tutaj bawi tylko przejazdem w charakterze gościa. Więźniowie pamiętają go, jak w czasie każdego apelu i w czasie każdej kąpieli, uśmiercał dziesiątki ludzi. Lubił rozmawiać z więźniami, dzielił nawet kromki chleba, tłumaczył, że jest „dobry" i nie znosił tych, którzy przed nim drżeli. Gdy za jakieś poruszenie w szeregach położył trupem kilku ludzi, zawsze zapalał potem papierosa i, uśmiechając się przymilnie, mówił: „— Ja jestem dla was taki dobry, a wy mnie denerwujecie. Patrzcie do czego mnie doprowadzacie". Swojego kolegę z czasów przedwojennych Kamfa, który grywał z nim w kawiarniach, zamianował starostą obozu, a zamordował gdy Kamf wygadał się o akordeonach wypełnionych brylantami (jakie Rokita wysyłał do Heimatu). Zorganizował orkiestrę obozową ze znanych muzyków i zamówił u nich dotąd przy każdorazowym „wysiedlaniu" grane „Tango śmierci".

Siedzący w towarzystwie na werandzie esesowiec Siller, otyła kulka, z wyglądem dobrodusznego piwosza, zwykł mordować bez podniecania się, spokojnie, ze znudzeniem. Chronił tylko pomylonego jasnowidza Sschlossera z Żółkwi, do którego zachodził po wróżby. Wysoki dwudziestoletni scharführer Heinen specjalizuje się w ustawianiu więźniów głowa przy głowie i przestrzeliwaniu kilku głów za pomocą jednego naboju.

Wytwornych pań znajdujących się w towarzystwie na werandzie więźniowie nie znają tak dobrze. Są to żony i narzeczone esesowców. Z więźniami zderzają się tylko poza regulaminem, dla rozrywki. Scharführer Steiner zwykł był np. rysować na piersi więźnia kredą biały krążek. Do tego krążka strzelano w oczach wszystkich obozowców z odległości dwudziestu kroków. Tak zginął m. i. znany pediatra prof. Progulski z synem. Do profesora strzelała niejaka Marta Rebauer. Celowała kiepsko i dopiero siódma kula trafiła w biały krążek.

Towarzystwo częstuje się wzajemnie papierosami; panie, jeśli nie palą, konsumują pomadki.

Witaminy mają przebieg sprawny i odbywają się bez zaburzeń. Minąwszy „Wachę" z werandą, więźniowie kroczą ulicą obozową, wybrukowaną kamieniami nagrobków z żydowskiego cmentarza. Po obu stronach ładne i czyściutkie skwery. Tu gdzie nie dawno stały szubienice wznosi się luksusowy garaż. Bieżąco działające szubienice są za wewnętrznymi drutami; zresztą w obozie wiesza się ludzi na każdej poprzeczce; umyślnych urządzeń na ten cel nie potrzeba. Słupy, wbite przy zakręcie miłego skweru, służą do wiązania skazańców w powietrzu, z rękami umocowanymi z tyłu tak, żeby stopy nie dotykały ziemi. Po daremnych prośbach o zastrzelenie ich, giną po kilku dniach z głodu i wycieńczenia.

ZDROWIE PONAD WSZYSTKO

Na koniec, przy wagonach na Kleparowskiej stacji, cegieł zostaje już tylko niewielka sterta. Wprawne oko obozowca ocenia od razu, że starczy ich co najwyżej na stu więźniów. Innymi słowy, że to ostatnia już tura i że wracać nie ma już poco. Więc dobiwszy ze swoim ładunkiem na miejsce przeznaczenia, nie nawracają więcej, a „lagerpolicyści", którzy podobnie ocenili sytuację, już nie naganiają. Więźniowie rozłażą się do baraków, do latryn i do „waschraumów". Uwijają się za „wykombinowaniem" czegoś do „przegryzienia", lub rzucają się jak kłody na prycze by odsapnąć. Lecz w ocenie ilości nieprzeniesionych cegieł zaszła pomyłka. Na stacji stało jeszcze, pół czy nawet cały wagon witaminy niewyładowanej, o czym więźniowie wiedzieć nie mogli. Esesowcy całe dziesięć minut czekali daremnie na powrót kolumn. Teraz wpada do wewnętrznego obozu zapieniony Willhaus ze swoim „Bergmanem" i już z daleka strzela przed siebie gdzie popadnie. Ze schodów baraku stacza się jeden trup, gdzie indziej... I oto ze wszystkich baraków, z przejść, z latryn rzuca się strumieniami przerażony tłum więźniów. Strumienie biegnących zlewają się w oszalałą lawinę. Walą na oślep gąszczem ciał i łachmanów, każdy z nich biegnąc — pragnie się wcisnąć w środek splątanych tułowi, by uniknąć kuli. Jedni obalają drugich, tych co upadli tratują za nimi biegnący. Orkan przelewa się za wewnętrzne druty, wpada w koryto obozowej ulicy, stamtąd w gościniec, w kierunku stacji Kleparów.

Tymczasem na werandzie „wachy" jeden z esesowców podchodzi do swojej Frau i zapina jej troskliwie kołnierz płaszcza pod szyję. Gest ten zwraca uwagę towarzystwa, że ochłodziło się mocno i że przebywanie na tym chłodzie nie jest już dla zdrowia wskazane.

Więc z wdziękiem i z uprzejmymi uśmiechami powstają niedbale z miejsc.

Maksymilian M. Borwicz

ANTONI B. DOBROWOLSKI

O potrzebie katalogu czynności umysłowych

I.

Dziś, wobec niebywale skomplikowanego i coraz bardziej komplikującego się życia, w obliczu mnożących się niebywale trudnych i coraz trudniejszych jego zagadnień, więcej niż kiedykolwiek nabiera znaczenia *umysł*, więcej niż kiedykolwiek potrzebną się staje każdemu z nas jak najwyższa *ogólna kultura umysłu*. Staje się ona już nie ornamentem życia, luksusem, lecz pilną potrzebą, nakazem. Nie może bowiem wciąż naprzód pędzące życie zdobyć trwalej podstawy, nie może nieustannie dzisiaj rosnący wielki dorobek nasz, — cywilizacja — zyskać poważnej asekuracji, dopóki ludność nie będzie zdolną z tym życiem, z tą cywilizacją świadomie obcować, świadomie w niej uczestniczyć, a więc przynajmniej jako tako to życie, tę cywilizację ogólnie bodaj rozumieć i oceniać. Nie wystarczają wskazania tradycji i instynktu. Trzeba *wiedzieć, rozumieć*, trzeba *potrafić spostrzegać, myśleć, wartościować*.

Najważniejszy zatem postulat nowego człowieka, pierwszy kardynalny warunek nowego życia stanowi — obok pewnego niezbędnego minimum wiedzy ogólnej — *ogólne wyrobienie umysłu*, to jest ogólne wyrobienie umiejętności i rzetelności spostrzegania i myślenia, jako podstawy do możliwie trafnego orientowania się i możliwie rzetelnego i odpowiedzialnego wartościowania, więc do zdobycia *własnego i uzasadnionego sądu w sprawach ogólnych* — tych, które każdego winny obchodzić. Spośród tych spraw najpoważniejsze są te, które dotyczą tak zwanego *światopoglądu*, w szczególności poglądu na świat ludzki, ten bowiem pogląd wyznacza nam, fałszywie czy prawdziwie, co mamy uważać za najważniejsze na tym świecie, i tym samym daje nam do rąk rzecz najważniejszą: taki czy inny *drogowskaz życia*. Sprawa poglądu na życie wysuwa się żywiołowo dziś — wobec oczywistego dla wszystkich co patrzą, powszechnego kryzysu kryteriów wartości: wiar, ideałów, ideologii.

II.

Tego pożądanego, więcej nawet niż pożądanego, bo niezbędnego dziś *ogólnego* wyrobienia umysłu, dzisiejszy inteligent nie posiada. Dwa są tego powody. Przede wszystkim to *ogólne wyrobienie umysłu nie stanowi świadomego i konsekwentnie przeprowadzanego celu dzisiejszej szkoły ogólnokształcącej*, w której metody nauczania nie są do tego celu przystosowane, nauczanie nie jest oparte na pracy ucznia możliwie samodzielnej, możliwie aktywnej, możliwie źródłowej, na możliwie naturalnym jego zainteresowaniu i na możliwie dokładnym dostosowaniu materiału do granic jego psychiki oraz na dyskusji — teoretycznie uzasadnionym i praktycznie wypróbowanym środku tego, co nazywają potocznie „wyrobieniem logicznym". Po wtóre, zaczątkowego wyrobienia umysłu, nabytego w gimnazjum, abiturient nie rozwija dalej jako dorosły inteligent, lub rozwija w sposób przeważnie niewłaściwy, więc mało skuteczny — chaotycznie, byle jak, przygodnie, przeważnie źle, nie znajduje on bowiem zachęty i pomocy w postaci instytucji akademickich ogólnokształcących, równoległych do istniejących szkół akademickich, które wszystkie, wraz z uniwersytetami i ich katedrami filozoficznymi, są szkołami specjalizującymi, zawodowymi, a nie ogólno-kształcącymi.*)

III.

Nie trzeba jednak czekać na odnośne reformy, by już zaraz móc zacząć coś robić dla częściowego na razie zapełnienia tej luki wielkiej i ważnej, bo stającej się już groźną, a jednocześnie dla teoretycznego przygotowania owych reform. Rzeczywiście, gdy idzie o ogólne wyrobienie umysłu, rzeczą pierwszorzędną i bardzo pomocną zarówno dla nauczającego, jak i dla uczącego się byłoby *uświadomienie sobie* pracy umysłowej — jej istoty, jej składników i postulatów, jej czynników, warunków, okoliczności. To jednak przypuszcza, że to wszystko znamy, żeśmy to wszystko, przynajmniej o tyle o ile zbadali. *Otóż tak dobrze wcale jeszcze nie jest*, głównie z tego powodu, że to wszystko było od wieków w pachcie filozofii, która oprócz ogólników nie wiele mówiących i twierdzeń wątpliwej wartości, nic nam o tym — jak zresztą i o innych rzeczach — powiedzieć nie potrafiła.

Nie chciałbym tu być źle zrozumiany. Jeżeli faktem jest, że filozofowie *jako tacy* napewno nie przyczynili się do wyjaśnienia struktury i dynamiki pracy umysłowej, lecz raczej zaciemnili tę sprawę (powtarzam: jako *filozofowie!*), to niemniej faktem jest, że filozofami bywały najtęższe umysły, które potrafiły nie tylko ulegać tej naturalnej słabości umysłu, — nie tylko filozofować, ale także spostrzegać i wnioskować skutecznie i owocnie. W pismach filozofów wszystkich czasów niewątpliwie znajdziemy tu i ówdzie — rozproszone jednak i bardzo fragmentaryczne — wcale cenne dane i ciekawe uwagi dotyczące umysłu ludzkiego. I w moim „Katalogu czynności umysłowych, skłonności, wad i przywar umysłu", który wykładałem na W.W.P. i którego zakończeniem jest opracowywany przeze mnie „Kodeks moralności umysłowej", nie jedno zaczerpnąłem od filozofów. Lecz wszystkie te ich bystre obserwacje, głębokie uwagi, niespodziane a trafne wnioski nie mają nic wspólnego *jako takie* z ich filozofiami *jako takimi*, i tylko wplątane często bywały — zupełnie zbytecznie i nawet szkodliwie — w ich filozoficzne pajęczyny, które tu grały jedną tylko rolę: poważnej przeszkody na jedynej tu owocnej drodze, na drodze systematycznego badania empirycznego.

Nie wiemy więc dotychczas nie tylko naukowo, ale nawet zwyczajnie, nienaukowo, *„przednaukowo"*, co właściwie robimy, gdy spostrzegamy, myślimy, oceniamy, na czym właściwie polega *praca umysłu*, z jakich to naprawdę *czynności* się składa — nie mamy nawet spisu, katalogu tych czynności. Wiemy, że w pracy tej narażeni bywamy na błąkanie się i błędy, nie mamy nawet spisu, katalogu tych błąkań, tych błędów i odpowiadających im wad i przywar umysłowych. Wprawdzie logika wyrwała się już, na dobre i na zawsze, z tysiącletnich powijaków filozofii i stała się prawdziwą nauką, ale, jako wyłącznie aprioryczna i formalna gramatyka umysłu, a raczej może matematyka umysłu, nie zajmuje się ona *realnymi* sytuacjami pracy umysłowej, jej rzeczywistymi, nie tylko formalnymi, składnikami i czynnikami ani skłonnościami, lub wadami umysłu; praktycznie daje nam ona dotychczas tylko środek — kapitalny — mechanicznego po prostu sprawdzania poprawności rozumowania dedukcyjnego. Psychologię zaś jeszcze nie stać na bodaj jako tako naukową analizę tych skomplikowanych zjawisk; cóż dopiero mówić o ich ujęciu socjologicznym. Trzeba się więc do nich zabrać na razie zupełnie *empirycznie i prymitywnie*, bez pretensyj naukowych, zupełnie „przednaukowo" — nie ma innej rady. Nasamprzód zaś trzeba się dowiedzieć co *jest* — wykryć, zebrać te różne czynności, skłonności, wady, przywary; skolekcjonować je, *skatalogować*.

*) O „Kołach samokształcenia" młodzieży po miastach i „Instytutach Wyższej Kultury Umysłowej" później; o echach i losach tej myśli, obacz artykuł „O wykształceniu ogólnym inteligencji etc.", w „Kulturze i Wychowaniu" r. 1935, zesz. 1—2, broszurę „Universitas Rediviva", Warszawa, Instytut Oświaty Pracowniczej, 1936 i artykuł „Sprawa wykształcenia ogólnego inteligencji", który się zjawi w „Odrodzeniu" lub „Twórczości".

FLORA BIENKOWSKA

Ojcu

Tamte ulice jak tunele,
Upiornie białe, krzywe domy,
Wiatrów jesienne karuzele
Kołyszą drzewa - upiory.

Samotny siedzisz przy warsztacie,
Późno — zmęczone oczy bolą.
Za oknem twój przyjaciel płacze
Jesion, sadzony ręką moją.

Smutno, zmęczyłeś się, zmalałeś,
A buty szyjesz dziwnie łatwo,
Żeby tak można było — pomyśl —
Rozdarte życie zeszyć dratwą.

Jest tak, jakby nas świat nie dzielił,
W kręgu chorego siedzisz światła,
Nocy ubywa pod rękami,
Znowu nam okna dzień pobieli.

Marzec 1943

WŁODZIMIERZ SZOBODNIK

Obłok i burza

Krajobraz na łodydze wiatru się kołysze,
Jak wielki kwiat. Ten szary piach to
Uzbekistan,
Skąd Aliszer Nawoi z muzą smagłą wyszedł
Na gościniec pieśniarski. Rozejrzyj się,
przystań!

Zwilżona arykami błękitna Fergana
Ogrody morelowe u stóp górskich kładzie
I z wonnych winnic wlewa do wiecznego
dzbana
Wystałe wino. Popatrz, jak po całym sadzie

Wędruje jasna zieleń, dłoniom ogrodnika
Posłuszna, jak pradawne oswojone zwierzę.
Słońce tak mocno praży, że ziemia przymyka
Swe ciemne oczy. Popatrz — coraz dalej,
szerzej

Kołysze się krajobraz. Rozejrzyj się wokół,
A może wtedy pojmiesz starego pieśniarza
I pogrążysz się w jego pieśni, jak w obłoku
I jak u źródła, co obłok i niebo powtarza.

Fergana, 12. II. 1944

IV.

Robić spis czynności, skłonności i wad umysłu tylko „z głowy" nie wystarczy. Trzeba poszukać *źródeł ich empirycznego poznania*, możliwie bogatych i dogodnych. Źródeł tych znalazłem pięć: 1) historia filozofii, nauki i techniki pod tym kątem rozpatrywana; 2) historia myśli jednostek twórczych — odkrywców i wynalazców; 3) rozbiór szczególnie ciekawych — z tego punktu widzenia — badań i procesów sądowych; 4) podobny rozbiór udanych, a dokonanych w trudnych warunkach i okolicznościach przedsięwzięć; 5) lekcje w szkole, rozumiane tutaj jako okazja codzienna do spostrzeżeń i nawet eksperymentów nad zachowaniem się umysłów młodzieży. Sposobu korzystania z każdego z tych źródeł dawać tu nie będę, odnośne uwagi zamieściłem swego czasu w tomie I „Nauki Polskiej". Tu tylko zaznaczę, że źródłem niewątpliwie najlepszym, z którego też korzystałem najwięcej, są lekcje (przez 7 lat belferki w gimnazjach „bojkotowych" Kongresówki 1907—1914) — zbiorowe, zarówno jak indywidualne, jedne uzupełniają drugie. One to są warsztatem bezkonkurencyjnym pracy badawczej wtym kierunku, badacz bowiem — nauczyciel — rozporządza tu, do badań porównawczych i masowych, wielką liczbą mózgów czynnych pod jego kierunkiem codziennie, lub mózgiem pojedyńczym — do badań „monograficznych". Najwięcej materiału — i najprzedniejszego — można tu zebrać, jeśli prowadzić lekcje w postaci ciągłego zmuszania uczniów do pracy możliwie *samodzielnej*, możliwie źródłowej i możliwie aktywnej, do możliwie samodzielnych, z jak najmniejszą pomocą, systematycznych wysiłków *dochodzenia*, coraz trudniejszego, na coraz dalszą metę: do stawiania pytań, do spostrzeżeń, eksperymentów i wniosków, do zestawień i uogólnień, do uzasadnień i sprawdzań, do pomysłów i formułowań, do odkryć i wynalazków (nic wspólnego z osławioną „heurezą" — prowadzeniem mózgów na pasku z pozorami ich samodzielności!), a jednocześnie badać możliwie w duchu naukowym (to znaczy: możliwie rzetelnie, uważnie, dokładnie i systematycznie) zachowywanie się młodych umysłów. Zwłaszcza błędy i niedołęstwo uczniów są tu materiałem nieocenionym, ich bowiem analizą i dociekanie ich powodów doprowadzają do odkrycia zarówno odnośnych wad i przywar, jak i szwankujących tu czynności umysłowych. Pomocy w tej pracy kolekcjonerskiej miałem mało: mało kto w tym kolekcjonerskim kierunku coś zrobił. Nie wiele dowiedziałem się ze znanej książki „Jak myślimy" (*How we think*), wydanej w roku 1910, napisanej przez Johna Dewey'a, który próbował zrobić nieco dokładniejszą, niż to się robiło przed nim, ale wciąż jeszcze zbyt ogólnikową analizę t. zw. przezeń „pełnego aktu myślenia", co tu znaczyło: aktu rozwiązywania wypadków niezrozumiałych, a w nim głównie czynności interpretujących. Trochę więcej już dała mi praca Ottona Schultzego, wydana w roku 1914 w redagowanej przez znanego pedagoga F. Meumanna bibliotece „Pädagogium" p. t. *„Systematische und kritische Selbständigkeit als Ziel von Studium u. Unterricht"*, gdzie autor stara się wyłuskać te czynności umysłu, z których składa się praca studenta, więc słuchanie, notowanie i obróbkę wykładów, uczenie się według kursu, książek i artykułów, wykonywanie prac seminaryjnych i eksperymentu. Prócz tego, po ułożeniu — bardzo już dawno — pierwszej próby, bardzo jeszcze niedostatecznej, mego „Katalogu", posłałem jego odpisy do kilku znajomych mi uczonych, z których dwóch, profesorowie Kotarbiński i Białobrzeski dodali mi coś niecoś. I to było wszystko. Obecnie (1937) mój „Katalog" jest, przypuszczam, dostatecznie bogaty, skoro jego wykład, wraz z charakterystycznymi przykładami ilustracyjnymi, zajmował mi 3 godziny tygodniowo przez cały semestr na W.W.P., mogę więc już uważać go za dojrzały do ogłoszenia drukiem. Myślę, że przyda się on i nauczycielom, i uczniom i przeciętnemu inteligentowi; bo jeśli nawet wiele z jego numerów mogą być mu znane, to są znane *każdy osobno, ale nie wszystkie razem*, a to nie wszystko jedno.

V.

Tyle o pracy zbieracza, żmudnej, ale nie powiem, żeby nieinteresującej. O wiele więcej kłopotliwym i niewdzięcznym jest drugi etap pracy: *porządkowanie zbioru*, a jest on prócz tego mniej interesujący, jako iż z góry jest tu wiadomo, że klasyfikacja zbioru pojęć zupełnie przednaukowych, t.j. takich, które nie dają się ściśle *zdefiniować*, tylko mniej więcej sprecyzować i scharakteryzować, klasyfikacja czysto empiryczna i, jako pierwsza w tym rodzaju, *bardzo pierwotnie empiryczna*, — musi mieć wszystkie *wady* takich klasyfikacyj: często nie będzie tu właściwie żadnej wyraźnej zasady podziału, grupy nie będą ściśle wyodrębnione, zachodzić będą na siebie, niektóre elementy zbioru dadzą się zaliczyć do dwóch, lub nawet do kilku grup, trzeba będzie nawet tworzyć grupy pośrednie, będzie także zachodzić potrzeba — wobec t.zw. wypadków granicznych, lub dla zaokrąglenia klasy — podziałów „we właściwym znaczeniu" i „w niewłaściwym znaczeniu". Będzie to klasyfikacja nawet pierwotniejsza i znacznie pierwotniejsza, niż taka np. bardzo pierwotna klasyfikacja botaniczna Linneusza; Linneusz bowiem, dzięki stwierdzeniu stałej obecności organów rozmnażania i rozsiewania, i dzięki jakiemu takiemu zbadaniu struktury kwiatów, wszędzie zasadniczo podobnej, mógł te organy i kwiat zużytkować jako *zasady podziału*. Nic podobnego w naszym wypadku nie da się jeszcze zrobić. Będzie to więc stadium klasyfikacji *„przedlinneuszowej"*. Pochodzi to oczywiście z samej natury pojęć przednaukowych, surowych, nieoczyszczonych, które powstały nie jako części określonego systemu pojęć, lecz przypadkowo, w biegu codziennego życia. Dopóki zjawiska, dotyczące pracy umysłu, nie będą dostatecznie zbadane naukowo, dopóty pojęcia te zostaną pierwotne — i nie pomogą tu wysiłki ich ścisłego zdefiniowania, takie wysiłki będą tu zbędne, bo definicje będą z konieczności dowolne, nie będąc zdeterminowane przez sam bieg badań, przez jego takie a takie zupełnie określone potrzeby, i będą one także o tyle ryzykowne, że nie wiadomo, czy przy dostatecznie posuniętym badaniu nie trzeba będzie dzisiejszych „czynności", „skłonności", „wad" zastąpić przez pojęcia inne, odpowiedniejsze; sądząc po ewolucji różnych nauk empirycznych, tej ewentualności można się spodziewać prawie na pewno. Będzie to więc klasyfikacja zgoła tymczasowa — i jako taka, oczywiście mniej interesująca. Lepiej nie da się dziś zrobić. Lepsza jednak taka niż żadna. Zbiór bez żadnego porządku może się wprawdzie przydać (przykłady: kodeksy moralności, które przez wieki spełniały swą rolę: dziesięcioro przykazań, siedem grzechów głównych i t. p.), ale nawet jakie takie, bodaj zupełnie prowizoryczne uporządkowanie ma oczywiście znaczenie zupełnie realne.

Całego mego „Katalogu" część najpierwsza i najpilniejsza to oczywiście część *negatywna*: katalog *błąkań* i *błędów*, oraz ich źródeł: *wad* i *przywar umysłu*.

W orientowaniu się i wartościowaniu, więc w sądach i opiniach dotyczących spraw ogólnych wystawieni bywamy na każdym kroku na niewłaściwości i nietrafności, na błąkania i na błędy — oto fakt pierwszy, najważniejszy. Otóż często dzieje się to niezupełnie z naszej winy, lecz z takich wad umysłowych jak niedołęstwo, niesprawność, niezgrabność, które pochodzą głównie z braku odpowiedniego wyszkolenia umysłu, lub jego niedorozwoju. Równie jednak często, może nawet najczęściej, nie jesteśmy bynajmniej bez winy, błąkamy się bowiem, błądzimy, popełniamy niestosowności i nietrafności z powodu takich przywar naszego umysłu, które moglibyśmy *zwalczać*, których jednak *nie zwalczamy*, lub zwalczamy *niedostatecznie* — są to zatem przywary natury nie tylko umysłowej, lecz zarazem *moralnej*, przywary sprzeczne z *etyką umysłową*. *Etyka umysłowa!* Pora już wprowadzić do pojęcia! Ustalałem je, precyzowałem stopniowo, rozwijałem przez 11 lat w moich wykładach pedagogiki ogólnej na W.W.P. Pora już naprawdę, wprowadzić nie tylko to nowe pojęcie, ale i odpowiednią nową praktykę. Ta nowa etyka, etyka mózgu — nowa, zrodzona bowiem z nowej drogi poznania, której jest pierwszym warunkiem, fundamentem i stróżem nieustannym: z nauki, z jej pracowni, dotychczas jednak nie wychodząca jeszcze poza jej mury *a przeznaczona na kamień węgielny moralności nowego człowieka* — ta nowa etyka nakazuje nam z przywarami umysłu walczyć, być ciągle *czujnymi: nie dać się* — ani od wewnątrz, ani od zewnątrz.[1])

Stąd pomysł *„Kodeksu moralności umysłu"*, jako końcowej części „Katalogu". Pełny kodeks jest do propagandy na szerszą skalę zbyt duży (same tylko chwyty tendencyjności zabrały mi w wykładzie mego „Katalogu" całe 12 godzin). Stąd pomysł „Małego Kodeksu": same tylko *„grzechy główne"* umysłu. Oczywiście, ten zbiór grzechów głównych jest na pewno niekompletny, więcej jeszcze niż cały „Katalog", i są tu te same wady klasyfikacji, co i wskazane przy omawianiu „Katalogu". Więc jest ta klasyfikacja równie zupełnie pierwotna — i tymczasowa. Ale, powtarzam, lepszej nie da się dziś zrobić — i lepsza taka niż żadna. Trzeba przecież „grzechy główne" naszego umysłu — liczne, *bardzo liczne*, mimo iż tylko najważniejsze, „główne" — mieć w *ewidencji*, by móc je pamiętać i mieć na uwadze, tym samym zaś móc z nimi walczyć — i tę ich ewidencję, wobec wielkiej ich liczby, należy ułatwić ich uporządkowaniem, bodaj prowizorycznym.

---

1) Kilka zdań zdradzających zaczątkowe pojęcie etyki umysłu jako „rzetelności" lub „uczciwości" umysłowej i to wyłącznie w stosunku do tradycji i prądów magiomistycznych, udało mi się znaleźć jedynie u Nietzschego-Zarathustry (pieśń o zaświatowcach) i u Andre'go Gide'a („Pages de journal"), „W takie widma (przez człowieka wymajaczone z jego „cierpień i niemocy") wierzyć teraz było by mi cierpieniem i udręką... cierpieniem i **poniżeniem**... (ci chorzy umysłem) nienawidzą ze wściekłością tego, kto szuka wiedzy (prawdy) i tej **najmłodszej z pośród cnót: rzetelności** (umysłu)". O ileż jednak wyraźniej, dobitniej, jednoznaczniej, pełniej — i prościej i nawet ogólniej, choć tylko w szacie osobistych przeżyć, mówi to samo Gide: „Il y a des moments ou, si je me laissais aller, je roulerais tout droit sur la Table Sainte. On dira que c'est l'orgueil qui me retient. Pas du tout. C'est simplement **l'honnêteté de l'esprit** — zdanie do zapamiętania i przykład panowania nad sobą człowieka obciążonego bardzo silnie tradycjami — dzieciństwa i młodości. Człowiek ten jednak nie wytrzymał ciśnienia wojny: splaszczył się i rozlazł na szmatki. Uczciwość umysłu jest kamieniem węgielnym moralności nowego człowieka — warunkiem koniecznym, ale **niedostatecznym**. Konieczny jeszcze drugi warunek: postawa, poważna i zdecydowana, wobec wszechświata, w szczególności wobec życia, zdolna dać dzisiejszemu człowiekowi czującemu, myślącemu i **krytycznemu** sens i drogowskaz życia, czyli religia w znaczeniu najszerszym, niezależnym od zwykłej jej szaty magiczno - mistycznej czy filozoficznej.

Antoni B. Dobrowolski

Nauka w ZSRR

Prof. Rubinstein S. Drogi rozwoju i osiągnięcia radzieckiej psychologii w miesięczniku „Wiestnik Akademii Nauk ZSRR, 1945 r., Nr 4, str. 67—84.

Nowy artykuł prof. Rubinsteina, członka Akademii Nauk ZSRR o radzieckiej psychologii uzupełnia jego publikacje w tej dziedzinie, które pojawiły się w ostatnim okresie. Mamy tu na myśli jego wykład o centralnych zagadnieniach radzieckiej psychologii, wygłoszony na jubileuszowej sesji Akademii Nauk ZSRR w czerwcu br. (opublikowany w czerwcowym numerze „Izwiestia Akademii Nauk ZSRR" seria filozoficzna) oraz artykuł „O świadomości i działaniu" ogłoszony jako wstęp do zbioru prac katedry psychologii moskiewskiego uniwersytetu im. Łomonosowa („Uczonyje zapiski katiedry psychologii"), który winien się był ukazać w ubiegłym miesiącu.

Prof. Rubinstein nakreślił w tych niezwykle poważnych aczkolwiek zwięzłych pracach zasadnicze zagadnienia, na których koncentruje się uwaga radzieckiej psychologii.

Dawał się odczuwać brak, zwłaszcza dla zachodnio-europejskiego czytelnika, chociażby szkicowego ujęcia historycznej ewolucji radzieckiej psychologii z punktu widzenia centralnych jej zagadnień oraz zademonstrowania jakie są konkretne osiągnięcia w tej dziedzinie.

Lukę tę zapełnił nowy artykuł prof. Rubinsteina, napisany z właściwym mu znawstwem przedmiotu i wysoką kulturą naukową.

Praca ta jest szczególnie ciekawa dla polskiego czytelnika, tak dla specjalisty w dziedzinie psychologii, jak i amatora, który zupełnie właściwie nie zna psychologii radzieckiej, jej rozwoju, osiągnięć, zagadnień.

Jeśli bowiem nasza inteligencja posiada jakie takie wyobrażenie o filozofii marksizmu, choć i tu mamy często do czynienia z nader mętnym i wypaczonym wyobrażeniem, to wiadomości, dotyczące dziedzin konkretnego jej zastosowania, jak np. psychologia, równają się zeru. Ba! można śmiało zaryzykować twierdzenie, że w ogromnej większości wypadków przyjętoby z najwyższym sceptycyzmem tezę, że Związek Radziecki rozwinął swoistą psychologię, posiadającą odrębną, oryginalną bazę metodologiczną, posiadającą własną szkołę eksperymentalną i mogącą się pochlubić ogromnymi sukcesami.

Jak te wszystkie zagadnienia wyglądają w Związku Radzieckim, o tym najlepiej świadczy właśnie omawiany artykuł prof. Rubinsteina, który mógłby się stać dla naszej inteligencji, nie mówiąc już o kołach fachowych bodźcem dla dalszego zainteresowania się psychologią radziecką.

Jest on predystynowany do tej roli tym bardziej, że szczęśliwym trafem wyszedł z pod pióra właśnie samego prof. Rubinsteina, który jest tej psychologii najwybitniejszym przedstawicielem.

Nikt też nie mógłby wypełnić zadania, postawionego w omawianym artykule, lepiej od prof. Rubinsteina. Członek Akademii Nauk ZSRR, laureat premii Stalinowskiej, najwyższej nagrody naukowej Związku Radzieckiego, prof. Rubinstein przeżył całą ewolucję psychologii radzieckiej w swej bogatej praktyce naukowo-badawczej i pedagogicznej na przestrzeni lat 1918 po dzień dzisiejszy. Łącząc ogromną, głęboką wiedzę o zachodnio-europejskiej psychologii z mistrzowskim znawstwem filozofii marksizmu i zbudowanej na jej podstawach psychologii, prof. Rubinstein unika w swym szkicu łatwizn, nie idzie po linii chronologicznego przedstawiania ewolucji radzieckiej psychologii w osobach poszczególnych jej przedstawicieli. Jego metoda jest syntetyczną i zmierza w kierunku wykazania sił napędowych tej ewolucji, w kierunku systematyzacji nurtujących psychologię radziecką zagadnień.

Psychologia radziecka rozpoczęła swą drogę rozwojową, jak słusznie podkreśla autor, w momencie, gdy psychologia europejska, podobnie jak i inne nauki, znalazła się pod obuchem ciężkiego kryzysu metodologicznego.

„Zadanie, które powstało przed radziecką psychologią — pisze Rubinstein — polegało na tym, by nie ograniczając się do drobnych poprawek, przebudować podstawy tradycyjnej psychologii i zachowując ciągłość historycznego rozwoju nauki, przezwyciężyć jednocześnie błędne idealistyczne i mechanistyczne teorie, które w ciągu stuleci ciążyły nad psychologią".

Po długoletniej teoretycznej i metodologicznej walce, przechodząc przez szereg przeobrażeń, psychologia radziecka zadanie to rozwiązała. Opierając się o marksistowsko-leninowską metodologię, zdołała ona, kontynuując historyczny rozwój psychologii, przebudować ją na nowych podstawach.

W wyniku tej ewolucji, stoją dziś przed radziecką psychologią dwa centralne zagadnienia badawcze: 1) psychofizyczny problem, który w psychologicznym aspekcie występuje jako zagadnienie stosunku świadomości do działania i 2) ustanowienie organicznego związku teorii z praktyką w dziedzinie badań psychologicznych.

Psychologia radziecka opracowuje nawiązując do badań Sieczonowa szereg problemów:

a) zagadnienia jedności psychiki i działania w procesie rozwoju;

b) jednolite badania psychofizyczne, które traktowałyby dane fizjologiczne i psychiczne w jednym kontekście;

c) nowa nauka o świadomości i bezpośrednio z nią związana nauka o psychologicznej treści i mechaniźmie działania.

Artykuł prof. Rubinsteina szczegółowo rozwija te poszczególne zagadnienia, wykazując ich historyczną ewolucję i istotę w świetle dzisiejszych badań.

Odnośnie drugiego centralnego zadania radzieckiej psychologii — ustanowienia ścisłego kontaktu teorii z praktyką — prof. Rubinstein daje pod koniec swego artykułu przegląd prac o charakterze praktycznym psychologów radzieckich w okresie wojny z Niemcami.

Przy całej swej zwięzłości artykuł prof. Rubinsteina jest niezwykle bogaty w treść i pouczający.

Czytelnik nabiera po jego przeczytaniu przekonania o konieczności bliższego zaznajomienia się przez polskie koła naukowe i szerokie rzesze inteligencji z osiągnięciami tak oryginalnymi i ciekawymi, radzieckiej psychologii, które dotąd były u nas terra incognita.

Adam Szaff

I. J. KRASZEWSKI

STARA BAŚŃ

cena zł. 80,—

Do nabycia we wszystkich Księgarniach

Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik"

Rozmaitości

Klasycy nieznani

Przeczytałem w pierwszym numerze czasopisma „Teatr" interesujący artykuł prof. Wacława Borowego o przekładach z Szekspira. Prof. Borowy zastanawia się, w jakich przekładach teatry powinny grać Szekspira, porównuje rozmaite teksty i ostatecznie dochodzi do wniosku, że jednak stary Paszkowski ma decydujące zalety. I, jak zaznacza, w gronach miłośników poezji, w których odczytywał próbki rozmaitych przekładów, przeważnie podzielano ten wybór.

Dowiedziałem się o tym z dużą satysfakcją, chociaż nie jestem anglistą i nieśmiało wtrącam tu swoje trzy grosze czytelnika. Niestety, czytelnika, a nie widza. Prof. Borowy zastanawia się, w jakich przekładach grać Szekspira, ale czy którykolwiek teatr myśli o tym na serio? Dużo się mówi o nawrocie do wartości klasycznych w ogóle, za mało się mówi o konkretnych wartościach, więc trzeba być wdzięcznym prof. Borowemu, że w wielkim mrowisku czasopism i niedzielnych dodatków literackich przypomniał nam o Szekspirze.

Przekłady Paszkowskiego mają 90 lat i pozostały nadal przekładami fundamentalnymi. Zestarzały się, to prawda, odczuwa się w nich jowialność języka i niejakie ubóstwo środków. Zainteresowanie Szekspirem przechodzi z generacji na generację, tymczasem praca tłumaczy nie nadąża za tym zainteresowaniem. W latach międzywojennych zjawiły się odosobnione próby nowych przekładów Iwaszkiewicza. Szekspir w Polsce nie doczekał się przecież swojego Boya. Odosobnione również przekłady trzech komedyj szekspirowskich, które powstały w latach okupacji, nieznane dotąd publiczności, ani ze sceny, ani z druku, nie zwiastują szybkiego zapełnienia tej luki. Znam przekład Miłosza komedii „Jak Wam się podoba", wydaje mi się, że to rzecz bardzo piękna i może wystawienie komedii w tym przekładzie zachęciłoby innych do zajęcia się Szekspirem.

A przekłady Kasprowicza? Ogromnie mi przykro, ale podzielam wiele upodobań prof. Borowego. Nie uradowała mnie lektura Don Kichota Boyego, a w Odyssei Wittlina podziwiałem tylko ogrom trudu, męki i najlepszej woli. Przekłady Kasprowicza zasmucały mnie od wczesnej młodości i wiem, że takie same uczucie wywołują u prawie wszystkich literatów mojej generacji.

Prof. Borowy oględnie przypomina o młodopolskich manieryzmach stylistycznych w przekładach kasprowiczowskich, o nadużywaniu szyku przestawnego. Ośmieliłbym dorzucić jeszcze jeden rys, może nie tak naoczny, ale również bolesny. Kasprowicz nie liczył się z frazą poetycką, nie uwzględniał jej kształtu i falowania. Młodopolska maniera językowa stała się niestrawna po kilku latach, znacznie więcej musiało upłynąć czasu, zanim wielu tłumaczy odzyskało szacunek dla frazy poetyckiej. Zło się już stało i trzeba powiedzieć to otwarcie. Kasprowicz dokonał ogromnego trudu: przekładał Szekspira, dramaturgów i poetów angielskich epoki elżbietańskiej i późniejszej, przekładał dramat grecki. To wszystko wymaga nowego przekładu, zwłaszcza dzisiaj, kiedy znajomość klasyków ma stać się udziałem szerokich warstw. Nie chciałbym daremnie oburzać strażników świętości, których nie wolno szargać, czemu jednak czasy upadku formy poetyckiej, zdziwaczałego języka i podniosłego zamglenia treści mają się mścić po latach na dzieciach robotniczych i chłopskich, które przez takiego Szekspira, takiego Shelleya, takiego Sofoklesa będą przyswajały sobie kulturę literacką? Nie są to sprawy błahe.

Było w latach międzywojennych aż nadto czasu na odrobienie pozycyj zmarnowanych w okresie Młodej Polski. A jak mało tłumaczyło się klasyków, jak mało zajmowali miejsca w życiu literackim. Na ówczesnej giełdzie literackiej rzadko bywali notowani. Wytworzyły się dwa nurty przekładów, jeden filologiczny, profesorski, pedantyczny, drugi — smakoszowski, dywagujący... Poeta wracał do klasyka dla nadania mu nowego, nieoczekiwanego tonu. Naginał klasyka do siebie, szukał w nim czystego zwierciadła, którego odłamki dźwigał w sobie stłuczone. Odszukiwał klasyka, bo tęsknił do niego prywatnie i po swojemu.

Wydaje mi się, że taka tęsknota nie jest najlepszym doradcą tłumacza. Nam, w czasach dzisiejszych, idzie po prostu o odszukanie starych dobrych pisarzy, których nazywamy klasycznymi. Potrzeba wewnętrzna obcowania z nimi jest odbiciem społecznej potrzeby wprowadzenia ich do kultury powszechnej. Są to klasycy nieznani, bądź dlatego, że nikt ich nie przekładał, bądź, że trzeba przekładać ich na nowo.

Katalog ułożyć nie trudno, ale rzecz nie w katalogu.

Adam Ważyk

Kronika kulturalna ZSRR

WPŁYWY KULTURY ROSYJSKIEJ — tak będzie się nazywał zbiór artykułów i materiałów bibliograficznych i dokumentalnych, który ma wydać w krótkim czasie leningradzki instytut literatury Akademii nauk ZSRR.

Projektowany zbiór artykułów będzie zawierał prace Aleksiejewa „Klasycy rosyjscy a literatura angloromańska", Prijma „Tolstoj a powieść francuska", A. Grigoriewa „Czechow a ruch literacki na Zachodzie", akad. Kraczkowskiego „Literatura rosyjska w krajach arabskich", akad. Aleksiejewa „Eugeniusz Oniegin w przekładach chińskich" i in. Obok zasadniczych artykułów będą umieszczone w zbiorze: biblioteka „Gorkij a Wschód", „Folklor rosyjski w Anglii", „Anatol Frence a literatura rosyjska" i inne. Wiadomość tę podaje „Litieraturnaja Gazeta". Z artykułu w gazecie nie widać, żeby leningradzki instytut rozporządzał artykułami o wpływach literatury rojskiej na literaturę polską. A przecież okres „Skamandra", wpływy Dostojewskiego na powieść polską, wpływy Jesienina mogłyby dać bogaty materiał dla polskiego rozdziału projektowanej książki. Gazeta dodaje, że książka ta wywoła żywe zainteresowanie wśród zagranicznych badaczy literatury, którzy nawiązują kontakt z instytutem i przysyłają dodatkowe materiały. Należałoby i nam pójść w ich ślady.

TRZECHLETNI PLAN GOSLITIZDATU. Kolegium redakcyjne państwowego literackiego wydawnictwa „Goslitizdatu" opracowało na najbliższe 3 lata plan wydania rosyjskiej literatury klasycznej, literatury republik ZSRR i literatury obcej. Zaprojektowane są nowe serie „Biblioteki powieści rosyjskiej" (102), „Biblioteki poezji rosyjskiej" (80), seria literatury pamietnikowej, „Biblioteka obcej powieści historycznej", seria „Powieść awanturnicza". W szerokim zakresie projektowany jest dział folkloru. Szereg książek zostanie wydany artystycznie, w tej liczbie „Słowo o pułku Igora", epos kirgizki, bajki łotewskie, narodowy poemat gruziński „Amirani" i in. Na ogół w 1946 r. zostanie wydanych około 300 książek, objętości 7228 arkuszy druku. Nakład waha się od 10 do 250 tys. egz. Ukaża się w nowych wydaniach: Dostojewski (10 tomów), Lew Tołstoj (15 tomów), Niekrasow (12 tom.), wydane zostaną dzieła A. N. Tołstoja (10 tomów). Z nowych powieści wyjdą: „Mołodaja gwardia" Fadiejewa, „Pierwsze radości" Fiedina, „Puszkin na wygnaniu" Nowikowa, dzieła wybrane Ws. Iwanowa, opowiadania Zoszczenki, który milczał prawie przez cały okres wojny, wiersze Asiejewa, Isakowskiego, Surkowa, Sielwińskiego, Twardowskiego i in. W 15-to tomowe wydanie dzieł A. N. Tołstoja włączona zostanie znaczna ilość utworów nieznanych. Wydanie to jest obliczone na 2 lata: pierwsze 10 tomów ukaża się w 1946 r., reszta—w 1947. Ogólna objętość wydania — 500 arkuszy druku.

PISARZE A CZYTELNICY. Redakcja gazety moskiewskiego okręgu wojskowego „Krasnyj woin" organizuje regularnie literackie środy, na których odbywają się spotkania pisarzy z czytelnikami i korespondentami wojennymi. W ten sposób nawiązuje się ścisły bezpośredni kontakt pomiędzy pisarzem i czytelnikiem, tak rzadko spotykany na Zachodzie. John Priestley, bawiący obecnie w Moskwie, wydrukował w „Litieraturnoj Gazecie" artykuł o współczesnej literaturze angielskiej, w którym szczególnie podkreśla wyłącznie indywidualistyczne nastawienie pisarzy angielskich i konstatuje hermetyczność nowej poezji angielskiej. W dalszym ciągu jest — pisze Priestley — przepaść pomiędzy angielskimi poetami a czytelnikiem i w danej chwili jest ona większa, niż podczas pierwszej wojny światowej. Wytłumaczyć to można jedynie mglistością poezji i brakiem siły emocjonalnej u współczesnych poetów, którzy są nową odmianą „poetów metafizycznych XVII wieku".

MUZEUM — MIESZKANIE DOSTOJEWSKIEGO. W Moskwie, w mieszkaniu lekarza sztabowego przy szpitalu Maryjskim, w którym urodził się i mieszkał do 1821 r. Dostojewskij, przy ul. Bozedomka 2, otwarte zostało muzeum. Mieszkaniu został nadany wygląd, jaki miało ono za życia pisarza.

„CZARNA KSIĘGA". Został opracowany i oddany do druku pierwszy tom „Czarnej księgi" objętości 35 arkuszy druku. Jest to dokument o bestialstwach niemieckich popełnionych na Żydach podczas okupacji terenów radzieckich. W opracowaniu materiału faktycznego wzięli udział pisarze radzieccy Aliger, Antokolskij, Grossman, Inber, Sejfulina, Erenburg, Szkapskaja, Szkłowskij i in.

(lg)

Liryka Jana Huszczy*)

Huszcza jest autentycznym lirykiem, nazywającym rzeczy przeżyte tym imieniem, które wydaje mu się najbliższe jego bezpośrednim doznaniom. Świadomy wybór konwencji, która decydowała o całokształcie stylu, małą gra tu rolę. Przy wywoływaniu poszczególnych wzruszeń znać troskę o to, aby wypowiedziane były mową poetycką: jest to oczywiście też podporządkowanie się pewnym konwencjom, najlepiej oddającym atmosferę bliską poecie i świeżość jego wzruszeń. Niemniej, wobec sprawy wierności wzruszeniu, są one dla poety sprawą wtórną. Niewątpliwie bliski „Pamiętnikowi lirycznemu" jest klimat „Białorusi" Leonarda Okołów-Podhorskiego, chociażby przez swoją geografię serdeczną. Huszcza przychodzi jednak o całe pokolenie później. Stosuje często pewne techniczne środki obrazowania właściwe wileńskiej i lubelskiej awangardzie, choć tkwi jednocześnie korzeniami w glebie odmiennej, użyźnionej tradycjami Mickiewiczowskimi.

Prostota i autentyczność, plastyka rzeczywistości zamiast plastyki fantastycznej, występuje w „Pamiętniku Lirycznym" wyraźnie, gdy zestawić go z pierwszym, przed wojną wydanym tomem Huszczy — „Balladą o podróżnych". Sama rzeczywistość stała się tu przecież elementem fantastyki: do jej pełnego, epickiego obrazu wzdycha poeta w wierszu „Tęsknota za powieścią":

„O tobie marzyć, dniu daleki,
co dasz spokoju, czasu tyle,
że jak nad nurtem sennym rzeki
nad trzytomową się pochylić".

Pamiętnik liryczny związany jest tematycznie z dziejami tułaczki Polaków w czasie ostatniej wojny na obszarach Związku Radzieckiego i z historią pochodu I Armii. Dzieje te nie są tu „opiewane" jak u Szenwalda, nie stanowią głównego, przewodniego motywu wierszy, których treścią jest krajobraz i tęsknota, wyrastają jednak ponad nurt osobisty, wieńczą go strofami wierszy takich jak „Rocznik 1923", „Pieśń o Rzeczypospolitej"; przez nie należy Huszcza do frontu poetów-żołnierzy, i tomikiem swoim, drukowanym jeszcze w Lublinie na przełomie lat 1944 i 1945 zamyka serię lubelskich wydawnictw „wojennych", tomików: Jastruna, Przybosia, Putramenta i Ważyka.

JAN HUSZCZA

„Pamiętnik liryczny" jest owocem jednej tylko z możliwości twórczych Huszczy, nie tylko poety lirycznego, lecz i satyryka. Trudno odnaleźć w skąpych ilościowo strofach nici łączące tamtego Huszczę z tym i kiedyś zapewne dokona się to połączenie dwu nurtów. Wtedy z owej tęsknoty nad „trzytomową" z owego:

„Domostwo ciągle niech obrasta
przybudówkami, alkierzami..."

wyrośnie może jakiś pełny, wielostronny i „pełnostronny" obraz życia, którego cierpki i nieskłamany smak odnajdujemy w „Pamiętniku Lirycznym".

Ryszard Matuszewski

*) Jan Huszcza: „Pamiętnik liryczny", nakładem Związku Zawodowego Literatów Polskich, Lublin, 1945.

Nowe książki

ZUZELSKI ST. dr. Stolica apostolska a świat powojenny. (Włocławek 1945. Księg. Powszechna i Druk. Diecezjalna 8, s. 132).

Dr Zuzelski chciał w swej książce zaznajomić polskiego czytelnika z poglądami Piusa XII na wojnę i świat powojenny. Nie łatwo z wielu pustych, choć uroczystym tonem wypowiedzianych słów wysupłać istotę poglądów papieża. Są rozdziały w ogóle niedostępne, z uwagi na swą tajemniczość, dla człowieka nie myślącego kategoria „credo quia absurdum" (np. rozdział „Społeczność przyrodzona, a nadprzyrodzona"). Z tego co zrozumiałem wynika, że:

Wojna jest coprawda złem, ale „bez tej nauki gorzkiej, świat bmałby dalej w ciemnościach niewiedzy, która jest czymś stokroć gorszym, niż promyk światła i prawdy, choćby najboleśniejszej" (str. 13).

„Pius XII nikogo z ludzi nie potępił. Karcił błędy z dziwna, choć stanowcza ostrożnością, by nie dotknąć ludzi" (str. 15).

„Zadanie specjalne, które sobie Papież wyznaczył było — jednoczyć wszystkich, co w Boga wierzą — w ogóle jednoczyć". (Str. 16)

„Władza publiczna, pod pozorem troski o dobro publiczne, nie może znosić, albo podważać skuteczności przyrodzonego prawa do dóbr materialnych". (Str. 85)

Znalazłoby się może jeszcze kilka zrozumiałych sądów. Prócz tego nie brak pięknych zdań o budowie nowego, doskonałego ustroju w świecie powojennym, wobec tego jednak, że papież: 1-o Wojnę uważa za dopust boży, 2-o nikogo z ludzi nie potępia, 3-o wszystkich chce jednoczyć, 4-o nie uznaje możliwości zmiany stosunków własnościowych — dążenie do przemian pozostaje w sferze pobożnych życzeń.

Na 132 stronach książki ani razu nie użyto słowa faszysta lub faszyzm. Słowo Niemiec znalazłem raz jeden, a mianowicie w takim zdaniu: „Niech przyjrzą się [„wodzowie walczących pod Rzymem armii] Matce swej, która ich wychowała, posyłając dziś, jak ongiś, pocałunek pokoju Brytom przez italskiego mnicha Augustyna, a Niemcom przez anglosaskiego mnicha Bonifacego". (S. 21). Zaiste, nielada zapobiegliwość objawia „Matka narodów", w dbałości o swą skórę.

Całość pozostawia po przeczytaniu wrażenie, że Pius XII jest wytrawnym dyplomatą (rzecz nie od dziś znana) i że kościół w sprawach tego padołu płaczu nie umie nic pozytywnego powiedzieć.

Szym.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Maria Ryger — Dni Wyzwolenia, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", 1945, piętnaście plansz.

Stefan Żeromski — Doktór Piotr, opowiadanie. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", 1945 r., str. 39.

Tadeusz Ostrowski — Więźniowie czapki zdjąć! Pamiętnik dziennikarza z pobytu w obozach koncentracyjnych. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", 1945, str. 444.

Józef Dominko — Z minionych lat. Wspomnienia działacza spółdzielcy z okresu pracy na terenie Lublina. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", 1945, str. 56.

Stanisław Łempicki — Słowo o Grunwaldzie. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", 1945, str. 102.

K. Malcużyński — Od atomu do bomby, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", 1945 r., str. 31.

Wiktor Grosz — Na drogach powrotu, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", 1945 r., str. 61.

Stanisław Ehrlich — Strategia zwycięstwa. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", 1945, str. 48.

Kodeks Postępowania Karnego wraz z przepisami wprowadzającymi. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", 1945 r., str. 180.

Ustawa o prawie autorskim — z dnia 29 marca 1926 r. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", 1945 r., str. 24.

Hiszpania walcząca — poezje, Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", 1945, str. 59.

Zanna Kormanowa — Panna Stefania — wspomnienie o Stefanii Sempołowskiej. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1945, str. 12.

Helena Boguszewska — wspomnienie o Halinie Górskiej, Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1945, str. 16.

W. Lenin — Dwie taktyki socjaldemokracji w rewolucji demokratycznej, Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1945, str. 100.

Lenin — Pamięci Hercena. O dumie narodowej Wielkorusów, Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1945, str. 19.

W. Lenin — Karol Marks, Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1945, str. 34.

K. Marks i F. Engels — Manifest komunistyczny, Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1945, str. 45.

Karol Marks Fryderyk Engels — O materializmie historycznym, Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1945, str. 60.

K. Marks — Praca najemna i kapitał, Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", 1945 r., str. 34.

W. Gomułka — Polska wobec nowych zagadnień. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1945 r., str. 23.

W. Gomułka (Wiesław) — Nowa karta dziejów Polski. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1945, str. 45.

W. Gomułka (Wiesław) — O poprawę bytu mas pracujących — przemówienie wygłoszone na zebraniu przedstawicieli Rad Zakładowych w Łodzi w dn. 13.IX.1945. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", 1945, str. 14.

W. Gomułka (Wiesław) — Przemówienie na 1-szym zjeździe Uczestników Walki Zbrojnej z Niemcami. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1945, str. 16.

Hilary Minc — Zagadnienia polityki gospodarczej. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1945, str. 52.

Henryk Werner ppłk. — Znaczenie historyczne bitwy pod Lenino, Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1945, str. 15.

Stanisław Ehrlich — Istota faszyzmu. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1945 str. 30.

A. Horak — Edward Śmigły-Rydz. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1945, str. 45.

NOTY

METODA SPORU

„Kuźnica" zwróciła uwagę na działalność publicystyczną ob. Lichańskiego we „Wsi". W odpowiedzi na to ob. Lichański (Wieś Nr 16) zademonstrował metodę sporu wypróbowaną w dziecinnym pokoju: mówisz, że ja mam umalowany nos, to ty sam jesteś bzitki. „Kuźnica" bzitka, bo wydłubkowała w 3 numerze taki utwór, że jak wziąć kawałek to plawdziwe polnoglafia, a widzisz? A ta Malia Castellatti to taka poetka, co to napisała wielszyk liliczny, i to kiedy, na wiosnę 1944, a widzisz? A ten Jastlun laz powiedział, że ta rzecz czarnoleska to szlachecka, a telaz mówi, ze ladna, a widzisz? „Kuźnica" jest lekcyjna!

Nieuczciwie jest wydzierać jeden utwór z dorobku poety i sądzić według niego o całym charakterze twórczości. Natomiast można i trzeba wyjmować z artykułów publicystów podstawowe tezy, które ich charakteryzują. Ob. Lichańskiego znamy tylko z takich tez: „Likwidacja społecznej struktury wielkokapitalistycznej musi przynieść ze sobą decentralizację przemysłu, handlu i życia kulturalnego".. „Bazą dla budowania nowej ogólnonarodowej kultury polskiej... nie może stać się w żadnym wypadku inteligencja mieszczańska czy proletariat przemysłowy". Te prognozy i tezy nie są dla mas nowością, przed wojną słyszeliśmy je od „radykalnych" publicystów, którzy nazywali marksizm okopami św. Trójcy. Takich „radykalnych" historia wymiotła, więc i z publicystą, w którego głowie odrodziły się ich idee, nikt nie będzie się kłócił o postępowość. Owszem, publicysta, który poucza poetów Armii Ludowej, jak mieli się zachować w 1944, robi wyraźne postępy — w tym samym kierunku, co niektórzy Anglicy. Nie minął rok od wypędzenia Niemców z kraju, a już nazywa ich nie inaczej, jak rodakami Goethego i Marksa. Szuka przysłowia u Niemców, jak gdyby nie miał polskich poddostatkiem. A są przecież takie piękne, ludowe i odpowiednie:

Wlazł na gruszkę i rwał pietruszkę.

Uważajcie-no, kumie partyzancie Królu, uważajcie, aby Wam nie zleciał.

W ślad za ob. Lichańskim anonimus z „Odry" przysłał cenne podarunki dla ludzi, którzy przez cztery lata wojny nie nakrywali się kołdrą. Obdzielił ich „mieszczańskimi pierzynami". To także metoda sporu, ale ze świata bajek. Ejże, bracia krasnoludki, obłożymy tych lewicowych literatów grubymi pierzynami, odizolujemy ich od mas, a nuż nikt tego nie zauważy... I ni stąd ni zowąd, prawem bajkowego myślenia, anonimus w „Odrze" (Nr 8) woła: „...radykalizm kończy się tam, gdzie kończy się wolność narodu. Kto dalej idzie, ten teoretycznie może być marksistą, ale praktycznie zaprzecza np. demokracji radzieckiej..." Nie jestem ciekaw, gdzie anonimus przespał wojnę, w mieszczańskich pierzynach, czy na wiejskim przypiecku, ale jakoś wierzyć mi się nie chce, żeby spał aż tak twardo w tym czasie, kiedy teoretyczni marksiści pokazywali praktycznie, i w Polsce, i we Francji, i w Jugosławii, jak się walczy o wolność narodu. To prawda, że w walce z faszyzmem wielu oderwało się od mieszczańskich pierzyn, a wielu innych od ciepłego przypiecka. Oderwać się, to rzecz najważniejsza. Wtedy anonimus przestanie upajać się dowcipami, że lewica nie jest lewicą, okrzykami, że „radykalizm chłopów był zawsze największy", natomiast pogodzi się z historią, i każdemu przyzna, co komu należne, i drobnej szlachcie, która szła za Edwardem Dembowskim, i nowoczesnej klasie robotniczej, i świadomemu chłopstwu, które doskonale zna się na demagogach usiłujących pomniejszyć znaczenie innych pracujących warstw narodu.

Jeszcze jedna metoda uczciwego sporu: uszczypliwości i epitety. Dowiedziałem się z „Odry", że jestem złośliwym doktrynerem. Chyba dlatego, że ośmieliłem się bronić pięknych strof Kochanowskiego przed likwidatorami poezji polskiej. Dowiedziałem się, że literaci lewicowi są fakirami i zaklinaczami węży. Tyż ładne, jak mawiał pewien góral. Pyta ich anonimus, czy nie przelękną się jego krzepy. Nie, bo chroni ich modlitwa, którą zmawiają codziennie. Ułożyli ją z powyższych wersetów, otrzymanych dzięki uprzejmości Redakcji „Szpilek" z bogatego archiwum, z dosier „Odra Nr 6, str. 6".

„Od żelaza, bydła, ognia i od łzy" —
Uchowaj nas, Panie.
„Od piersi, które są jak bębny, by na nich grać...!"
Uchowaj nas, Panie.
„Cierpienie jest istotą życia, odeń, odeń"—
Uchowaj nas, Panie.
Od poetów, którzy piszą:
„Bo nirwana to jak dla głodnego krem"—
Uchowaj nas, Panie. *awk*

SPODNIE I PRAWO

Mój znajomy z Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej otrzymał w przydziale piękny mundur esesowca, którego używa — niezgodnie z przeznaczeniem — jako pyjamy. Do spodni była przyszyta etykietka następującej treści:

„Spodnie służbowe, wykonał Nr 50 303. Ustawa z 20. 12. 1934: Części mundurowe muszą mieć uwidoczniony znak warsztatów Rzeszy NSDAP. Obwieszczenie z 16. 1. 1935 r.

Z etykietki wynika jasno, że warsztaty krawieckie NSDAP uszyły portki zgodnie z ustawą z 20. 12. 1934 r. Etykietka chlubnie również świadczy o wielkim umiłowaniu prawa przez Niemców, umiłowaniu, które sięga nawet esesowskich spodni. Czyż nie jest to charakterystyczny przykład, który w swojej mowie obrończej, mógłby wykorzystać mąż Windsorwood?

st.er.

„MOGLI ONI — MOGĘ I JA!" (Św. Augustyn)

Z radością powitaliśmy nowe „pismo katolickie poświęcone zagadnieniom życia narodowego", którego pierwszy numer ukazał się w Warszawie dnia 11. 11. br. Uznanie należy się Katolickiemu Komitetowi Wydawniczemu, że potrafił przezwyciężyć katastrofalny brak papieru, prześladujący prasę polską, i wydał nowy powszechny tygodnik — tym razem „Warszawski".

Jednak wobec tego, że jego redakcja nie ugruntowała przed wydaniem pisma pewnych zasadniczych poglądów, przeto czytamy w artykule wstępnym: „Czy niewiadome Jutro będzie rzeczywiście lepsze?" Bezwzględnie — gdyby to „Jutro" było niepewne i niewiadome, mogłaby „rozterka wstąpić w dusze" pp. Redaktorów; zdawało mi się jednak, że cele i idee tego Jutra zostały już określone dość dawno. I określone tak, że żadnych podstaw do niepewności i obaw nie dają.

O ile jednak nie wiedzą ci panowie jak ustosunkować się do jutra, o tyle zupełnie świadomie pojmują smętne wczoraj. Oto księża biskupi zebrani w klasztorze Jasnogórskim na Plenarnej Konferencji Episkopatu „pomni na to, że Ojciec Św. Pius XII nawet w najtragiczniejszych dla narodu chwilach lat ubiegłych miał dla nas zawsze słowa pociechy, zachęty i otuchy, że bardzo wielkim nakładem wspierał uchodźców polskich na całym świecie, utrzymując nieprzerwane stosunki dyplomatyczne z Rzeczpospolitą, wyrażają mu gorącą wdzięczność". Ale zapomnieli snać zupełnie o tym, że słowa zachęty i otuchy Ojca Św. jeszcze bardziej podtrzymywały Niemców, a stosunki dyplomatyczne z Rzeczpospolitą (londyńską) nie przeszkadzały mu wcale w utrzymywaniu podobnych stosunków z mianowanymi przez siebie niemieckimi duszpasterzami polskim ziem. Przekonany więc jestem, że nad „oświadczeniem rządowym w sprawie umowy konkordatowej" nie tylko Episkopat ubolewa, ale w niemniejszym stopniu biskup Bartram i biskup Splet.

Jasne jest zresztą wszystko. Przecież zaledwie w niedzielę „21 października wygłosił (papież) przez radio watykańskie przemówienie do kobiet całego świata", w którym powiedział m. in.: „Żadna naprawdę mądra kobieta nie powinna popierać polityki klasowej". Na podstawie równouprawnienia płci można więc przenieść to i na wszystkich „naprawdę mądrych" mężczyzn. Ergo: Żaden „naprawdę mądry" człowiek nie powinien popierać polityki, dążącej do zrównania społecznego ludzi.

Podobnie rozumuje i ks. Zygmunt Wądolewski. Pisząc o świętych jako o ludziach dojrzałych wśród ciężkich walk duchowych, którzy dochodzą do ideałów doskonałości, stwierdza, że „święci nie są ludźmi masy, na których opierają się systemy faszystowskie". Tak to dowiadujemy się, że: 1. nie może wyjść z mas świętość, t. j. ideał doskonałości i że 2. faszyzm opierał się o masy.

A ja w swej naiwności sądziłem dotąd, że faszyzm występuje właśnie przeciw masom i działa na szkodę mas!

Okazuje się jednak, że nie rozumiem wielu rzeczy. Oto dowiedziałem się:

że „polski naród był zawsze demokratyczny, nawet gdy pojęcie narodu utożsamiało się z warstwą szlachecką", gdy w rzeczywistości różnego rodzaju „liberum veta" są raczej objawem samowoli i braku zrozumienia społecznego, nigdy zaś demokracji;

że „chłop polski jest doskonałym gospodarzem, gdy posiada dostateczną wiedzę", z czego wynika, że przed wojną chłop polski posiadał dostateczną wiedzę, bo przecież był zawsze dobrym gospodarzem;

że „dowodem tego, że Polak jest bardzo dobrym kupcem jest rozmach przedwojennego kupiectwa poznańskiego". Czy nie rozmach kastetem ma autor przypadkiem na myśli?

A gdy przechodzimy na teren angielski to poto, by dowiedzieć się, że „niespodzianka wyborcza, która odsunęła od władzy Churchilla... wynikła stąd, że konserwatyści nie obiecywali(!) gruntownych reform społecznych, których pragnęła większość wyborców". Nieuświadomiony jest więc naród angielski, który napewno wybrałby konserwatystów, gdyby dali mu chociaż część owych upragnionych obietnic.

Słusznie więc pisze redakcja w artykule wstępnym, że „potrzeba wyraźnych drogowskazów stała się dziś powszechniejsza i żywotniejsza niż kiedykolwiek". Tylko, że opóźnia się droga ku wyznaczonemu celowi, gdy ktoś (z psoty czy złośliwości) drogowskazu kierunek przestawia. **M. M.**

NOWA FIZJOLOGIA CIĄŻY

Wychodzący we Włocławku tygodnik dla rodzin katolickich „Ład Boży" oprócz działalności ściśle religijnej i pewnych nie bardzo przyjemnych wyskoków w dziedzinę polityki zaczął ostatnio uprawiać również twórczość naukową. Jest to nauka „stosowana" a poza tym bardzo ambitna: nie ulega starym przesądom, krzewionym dotychczas jeszcze na zacofanych uniwersytetach całego świata i śmiało zapuszcza się w żyzne tereny odkrywczej fantastyki (co zresztą harmonizuje wybornie z ogólnym tonem pisma). Na razie mają to być porady dla młodych matek, zaczynające się od dokładnego omówienia okresu ciąży; autorem ich jest niejaki dr. Allen (owo dr. przed nazwiskiem uznać chyba wypadnie za największy skandal w tej całej historii). Posłuchajmy:

„Podczas pierwszych dwóch miesięcy kształtuje się ciało młodziutkiej istoty. W tym czasie kobieta ciężarna powinna z osobliwą troskliwością uprawiać ćwiczenia gimnastyczne".

„Od trzeciego do piątego miesiąca kształtują się w płodzie siły życiowe. Kiełkują też popędy społeczne i rodzinne. Jeśli w tym okresie oddaje się z osobliwym zamiłowaniem swoim obowiązkom domowym i w zaciszu domowym, widzi najmilszy dla siebie zakątek świata, to rzecz prosta, że dusza rozwijającego się dziecka przepaja się uczuciami matki".

„W piątym i szóstym miesiącu ciąży kiełkują w płodzie zdolności spostrzegania i poimowania kształtu, barwy, wagi, czasu, liczby i dźwięku rozwijają się organy wszystkich zmysłów. Okres ten jest bardzo ważny".

„W siódmym miesiącu powstają zadatki twórcze i estetyczne, zmysł dla rzeczy wzniosłych, dla piękna, naśladowania, humoru i t. p. Jeśli rozsądna matka przepełni duszę swoją takimi właśnie sprawami, to w tym okresie oddaje dziecku swemu osobliwie cenne usługi.

Ósmy i dziewiąty miesiąc to czas kiełkowania uczuć miłości i uczuć religijnych. Tęsknota zwrócona wzwyż, nadzieja, cześć dla Najwyższego, miłość bliźniego, współczucie i miłosierdzie — oto rysy duchowe, które w tym czasie kiełkują i które należy odpowiednio wspierać".

„Doktór" zwraca jednak uwagę, że możliwa jest pewna nieprawidłowość w następowaniu po sobie poszczególnych okresów. Zrozpaczony czytelnik nie rozumie: czy znaczy to, że dziewiąty miesiąc ciąży może nastąpić przed czwartym, czy też tylko „uczucia miłości i religijne" kiełkują przed „zdolnościami spostrzegania czasu i liczb"?

ec.

PRZEGLĄD PRASY

Wobec trwającego wciąż kryzysu wydawniczego, dotyczącego zwłaszcza prozy, rola, jaką spełnia każdy nowy numer „Twórczości" jest niezmiernie pożyteczna. „Twórczość" pozwala bowiem, zamieszczając dłuższe fragmenty powieści lub całe opowiadania, wejrzeć nieco do warsztatów powieściopisarzy i prozaików.

Październikowy numer „Twórczości" przynosi w dziale prozy Ksawerego Pruszyńskiego „Odejścia i powroty" (przedruk z „Nowej Polski", obszerny fragment powieści Stanisława Dygata „Jezioro Bodeńskie" pt. „Susanne", Kazimierza Brandysa fragmenty powieści „Drewniany koń". W dziale poezji znajdujemy tu przedruk wierszy Antoniego Słonimskiego (z tomu „Alarm", wyd. w Londynie) oraz wiersze zmarłej niedawno w Szkocji, Marii Pawlikowskiej.

Obszerna kolumna poezji rosyjskiej od Puszkina do poetów radzieckich (Antokolski, Szczipaczow, Tichonow) ułożona przez Mieczysława Jastruna i Seweryna Pollaka jest właściwie pierwszą próbą przedstawienia nam liryki rosyjskiej w takiej rozpiętości.

Kazimierz Wyka w szkicu krytycznym „Tragiczność, drwina i realizm" daje zbiorowy portret generacji pisarzy polskich t. zw. średniego pokolenia. (Wyka przyjmuje rok 1910 jako punkt wyjściowy). Wyka stwierdza przede wszystkim wyjątkowość obecnej sytuacji w literaturze polskiej: „Dojrzali i najstarsi bardziej odeszli w cień aniżeli dzieje się to w normalnej ewolucji literackiej. Najmłodsi, ci co wywalczać powinni, bardziej są spóźnieni, niż bywało". Autor dzieli literaturę lat przedwojennych na literaturę tragicznej i drwiącej maski. Te maski „odnadły z naszej twarzy". Wyka postuluje w swoim artykule realizm, lecz realizm ten według niego „ma pomieścić wszystkie treści doświadczeń naszych".

Po gorącej dyskusji jaka toczyła się niedawno w prasie literackiej na temat realizmu, szkic Wyki jest próbą podsumowania rachunków, które narastały do czasu wojny. W zakończeniu swego szkicu pisze Wyka, wychodząc z założenia, że „realizm czeka na wszystkich" iż „zadanie dzisiejszej prozy polskiej jest zbyt trudne i zbyt wspólne, by kogokolwiek odrzucać, kto od innego miejsca rozpoczynał swoją wędrówkę, a dzisiaj przystaje pod drogowskazem".

Poprzednio omówiony szkic Kazimierza Wyki łączy się tematycznie w pewnym sensie z obszernym studjum wybitnego znawcy realizmu, krytyka radzieckiego, Georga Lukacsa. „Twórczość" zamieszcza przekład jednego z rozdziałów jego pracy o realizmie. Jest to studjum o „Chłopach" Balzaca. Lukacs obnaża dialektykę twórczości Balzaca i stwierdza, że wielkość Balzaca polega na niezamącaniu prawdziwego układu opisywanych przez niego stosunków społecznych; jakkolwiek wielki realista miał poglądy konserwatywne, zwłaszcza tyczyło to zagadnienia chłopskiego, przecież Balzac — pisarz „chociaż małorolnych wyobraża wrogo, jak Robespierra z jedną głową i dwudziestu milionami rąk", jednakże „...zdobywa się na wspaniały i osnuty na prawidłowych proporcjach opis układu sił walczących za i przeciw wielkiej własności ziemskiej".

W dziale sprawozdań znajdujemy m. in. artykuł informacyjny Stefana Otwinowskiego: „Zjazd Literatów Polskich" omawiający układ sił na Walnym Zjeździe Literatów w Krakowie, jak również i wypowiedzi poszczególnych pisarzy.

Sprawom teatru poświęcone są dwa nowopowstałe pisma: „Teatr" wydawany w Warszawie oraz „Afisz Starego Teatru", który jak to zapowiada Redakcja, nawiązuje do tradycji dawnych, bo aż do Koźmiana. Redakcja zastrzega się, że mimo świadomego nawracania do tradycji nie zamierza bynajmniej odgrodzić się od współczesności.

Nr 1 „Teatru" otwiera artykuł Stefana Jaracza „Stare narowy i nowe zagadnienia". Artykuł ten przesłany przez Zmarłego na Walny Zjazd ZASP jest sumą myśli Stefana Jaracza o teatrze i o pracy aktora. Poza artykułami „Teatr" przynosi obszerną kronikę teatralną krajową i zagraniczną. Należy zauważyć, że stosunkowo niewiele miejsca poświęcono Łodzi, która jest dziś poważnym ośrodkiem teatralnym. Notatka o tym, że Teatr WP wystawił rosyjską sztukę pt. „Starość musi się wyszumieć", każe przypuszczać, że kronikarz miał na myśli sztukę radzieckiego autora, Leonida Rachmanowa „Niespokojna Starość".

O ile „Teatr" jest pismem teoretycznym, to „Afisz Starego Teatru" omawia raczej pozycie repertuaru teatralnego. Zygmunt Leśnodorski pisze o Pigmalionie Shawa. Wojciech Natanson zapoznaje polskiego widza z francuskim autorem dramatycznym — Peyret Chapuis, którego sztukę „Nieboszczyk Pan Pic" grają obecnie w Krakowie. Pozatem w numerze zwięzła kronika oraz rubryka „Prace i zamierzenia polskich autorów dramatycznych".

O roli, jaką spełniły koła katolickie w Polsce w okresie okupacji, zwłaszcza w dziedzinie niesienia pomocy więźniom, Polakom i Żydom pisze obszernie Jan Kalski w Nr 33 „Tygodnika Powszechnego" („Z czasów walki"). Należy żałować, że autor potraktował temat raczej wspomnieniowo, dając szczupły materiał faktyczny. Tym bardziej, że rola katolickich kół w okresie okupacji i ich wkład do wspólnej wówczas walki z okupantem nie zostały dotąd należycie obszernie omówione.

Numer 2 „Lewego Toru" przynosi m. in. zakończenie artykułu Wacława Bieleckiego („Stara i nowa demokracja"). Artykuł w pierwszej swojej części (Lewy Tor, nr 1) uwidocznił różnicę między demokracją dawną — polityczną a demokracją nową — społeczną; w drugiej części autor charakteryzuje tę nową demokrację, ze szczególnym uwzględnieniem Polski. Autor stwierdza, że podstawą nowej demokracji jest jedność klasy robotniczej: „Jednolity front proletariatu był zawsze podstawą dla stworzenia szerokiego frontu ludowego i narodowego." Wspominając o żywych obecnie tendencjach do jednoczenia się proletariatu, autor stwierdza, że „W Polsce również występuje tendencja do jak najściślejszej współpracy dwóch partii proletariackich, PPS i PPR".

W dziale literackim znajdujemy prozę Zofii Kossak-Szczuckiej, Stanisława Krzyżewskiego, Jerzego Brzeczkowskiego, Wandy Melcer. Całkowicie natomiast zastanawiającą pozycją w „Lewym Torze" jest banalny i żywo odcinający się swoją naiwnością od reszty materiału wiersz pt. „Erotyk". Zamyka numer wspomnienie o zmarłym w 1939 roku krytyku i publicyście, Stanisławie Baczyńskim, pióra Stanisława Płoskiego oraz kronika.

W ostatnim „Przekroju" zwraca uwagę pełen wdzięku felieton Artura Sandauera „Nieco lingwistyki".

Wznowiony po latach wojny „Język Polski" przynosi w numerze 3 (wrzesień — październik 1945) dokończenie artykułu zmarłego w czasie wojny Franciszka Siedleckiego, jednego z najwybitniejszych znawców wersyfikacji („O nowych badaniach nad budową wiersza").

Żywe zainteresowanie budzi artykuł Marii Dąbrowskiej „Od strony pisarza", poświęcony sprawie reformy ortografii. Maria Dąbrowska, zaznaczając na wstępie, że nie zamierza „rozpatrywać pojawiających się jakoby projektów nowej reformy ortografii" wypowiada się na ten temat jako literat i wyraża swoje nieprzychylne stanowisko odnośnie pomysłów sfonetyzowania pisowni. „Bardzo się też zmartwiłam — pisze Dąbrowska, — że z pomysłem takim występuje pisarz tej miary co Jan Nepomucen Miller".

Dąbrowska wypowiada niezmiernie trafne uwagi na temat t. zw. demokratyzowania kultury: „Byłoby wielką obrazą dla wchodzących w pełnię życia kulturalnego warstw chłopskich i robotniczych przypuszczać, że są one mniej uzdolnione do nauczenia się pisowni języka polskiego niż dotychczasowe t. zw. warstwy oświecone". **ph**

Redaguje Zespół „Kuźnicy". Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
D-06234
Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42.
Prenumerata miesięczna zł 21,—, kwartalna zł 63,—.
Wydawca: Zespół „Kuźnicy". — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" Nr. 4, ul. Żwirki 2.